fstępniak

Drodzy Czytelnicy! Dziękujemy za zainwestowanie kwoty 15-tu złotych we własną Waszą znajomość tematów "fonografia" i "show - biznes". Aby wyrzeczenie to nieco Wam osłodzić, dodaliśmy do naszego miesięcznika płytę CD, gratisową wprawdzie, ale o nadzwyczajnej, nie spotykanej dotychczas wartości: jest to pierwszy z kolekcji kompaktów, na których znajdziecie najlepsze przeboje ze "złotych płyt" wydanych w kolejnych latach, od A.D. 1955-go począwszy! Tylko u nas - nieśmiertelność w stanie czystym - gratis!

Jesteśmy oto przy numerze pierwszym naszej FONOSFERY, a więc trzymacie w ręku NUMBER ONE. Kto trzyma - nie błądzi!

Do tego powinniście zdawać sobie sprawę, że sami jesteście TARGETEM, znalezionym w NISZY RYNKOWEJ. Zostaniecie policzeni jako SPRZEDAWALNOŚĆ, albo - CZYTELNICTWO. I to od Was będzie zależeć nasza pozycja w RANKINGU, bez którego pies z kulawą nogą zwany inaczej SPONSOREM nie zamieści u nas żadnej reklamy. Namawiamy więc do masowej, spontanicznej prenumeraty. Takie jest życie wydawnicze.

FONOSFERA jest, po pierwsze, magazynem polskich, niezależnych wydawców fonograficznych, zrzeszonych w stowarzyszeniu "Niezależna Fonografia Polska". To może - na pierwszy rzut oka - wydawać się nudne, ale gwarantujemy, że nie będzie: nie widziano, żeby ktoś się nudził po wsadzeniu kija w mrowisko lub - a może jednocześnie - w gniazdo os. A więc - na początek trzęsienie ziemi, a potem napięcie będzie rosło. Ponadto - niezawodne recenzje płyt naszych i waszych.

FONOSFERA jest, po drugie, miesięcznikiem muzycznym. Nic co muzyczne nie jest nam obce, a więc muzyczne przeboje, wydarzenia, plotki, opłotki, wpadki, style, wynalazki, zjazdy i odjazdy, gwiazdy i rozgwiazdy (jak mawia znajomy górol o piszczących panienkach).

FONOSFERA jest, po trzecie, miesięcznikiem show - biznesu. Stąd też reportaże z imprez, wywiady, koncerty, muzyczna moda i uroda, korespondencja ze stolicy (czyli Londynu), kluby, restauracje i degustacje.

FONOSFERA jest, po czwarte, miesięcznikiem naszego przemysłu fonograficznego. Znajdziecie tu przystępną odpowiedź na pytanie, jak powstaje płyta CD, DVD i co to takiego MP3 w Internecie.

FONOSFERA jest, po piąte, całkiem nadzwyczajnym miesięcznikiem kulturalno - rozrywkowym. Dlatego obok muzyki znajdziecie najlepsze pióra, najśmieszniejsze rysunki i dowcipy, najciekawsze podróże i jeszcze Ponthy Majton w Fonolulu, czyli nieokiełznany Sparkofon w akcji.

Uważamy, że jak na jeden magazyn w umiarkowanej cenie to i tak bardzo dużo. Opowiadajcie o nas wszystkim swoim znajomym. Zyskacie poczucie, że nie zmarnowaliście dnia ani godziny.

Czytajcie FONOSFERĘ, ona was nie zawiedzie.

Redakcja.

Adres redakcji:

ul. Dantyszka 8, 02-054 Warszawa, tel. (022) 825 54 78, 825 56 81, fax 825 27 05

kontakt E-mail: selles@pol.pl

Zamówienie prenumeraty

W prenumeracie taniej: Proponujemy korzystną półroczną prenumeratę FONOSFERY w dwóch wersjach:

- •72 zł. za 6 egzemplarzy (tylko 12 zł egzemplarz z płytą CD " Oldies Goldies")
- •27 zł. za 6 egzemplarzy (tylko 4,50 zł egzemplarz bez płyty CD)

Awers przekazu

Odcinek dla poczty
zł.................................. gr.................
słownie złotych:
....
....
wpłacający:
....
....
....
....
Selles Enterprises Tomasz Bielski
ul. Jagielska 43 02-886 WARSZAWA
konto: RCB 17500009-10.02.0068379.000
Pobrano opłatę zł............ gr...........

Powinny być jeszcze trzy odcinki: Odcinek dla banku, Odcinek dla wpłacającego, Odcinek dla Selles Enterprises

Rewers przekazu Magazyn FONOSFERA

- •z płytą CD "Oldies Goldies" od numeru 6 egz. kwota 72 zł.
- •bez płyty CD od numeru 6 egz. kwota 27 zł.

Wydawca: Selles Enterprises, Prezes: Tomasz Bielski, Dyrektor Naczelny: Bożena Dudzińska
02-886 Warszawa, ul. Jagielska 43, tel. (022) 643 91 39, 643 91 59

Sklep firmowy: MUZA ul. Krucza 49

Fonospis

Oldies Goldies 1955 - Klimaty wokół płyty
ROCK AROUND THE CLOCK
jak rodziła się za oceanem ta wspaniała muzyka – Tadeusz Rusinek
Co było wtedy u nas
czyli realia w zupełnie innych rytmach – rozśpiewany a siermiężny polski socjalizm – Marek Gaszyński

---

Fonosonda
Zabawa Marioli Stańczak w 2 pytanka
Skojarzenia i opinie ludzi znanych i lubianych

Fonolulu
Wkładka specyficznego humoru ze smakowitym Borowikiem, skocznym Polaczkiem i nieroztropnym Stańczyko-Stańczakiem

---

Foneser
Cykliczny felieton "medialny" Ireny Wiszniewskiej tym razem o sklanowanych

---

JARMARK EUROPA
Intrygujący reportaż Moniki Romaniuk ze Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie

---

Fonoguru
Lecha Falandysza krótkie piłki i mądre słowa w zwycięskiej potyczce z Iwoną Wiśniewską

Fonokabareton
Salon Niezależnych

Rok 1955 - rock around the clock

Był to rok początku ogromnych zmian, wszystko na świecie, począwszy od muzyki zaczęło się diametralnie zmieniać, i nigdy już nie miało być jak dawniej.

Dziesięć lat po wojnie Ameryka Północna i Europa Zachodnia przeżywają lata niesamowitego rozkwitu, zaś w ZSRR i Europie Wschodniej powoli dogorywa upiorny i krwawy okres stalinizmu.

Telewizja przestaje być atrakcyjną nowością, a zaczyna stawać się poważną konkurentką kina. Kino stara się utrzymać swą atrakcyjność przez filmowanie epickich opowieści na poszerzonym wielkim ekranie. W przemyśle płytowym coraz więcej wytwórni rezygnuje z tłoczenia 10 calowych ebonitowych, łatwo tłukących się płyt, puszczanych na gramofonach z prędkością 78 obrotów na minutę, na korzyść siedmiocalowych, bardziej wytrzymałych płytek, o szybkości odtwarzania 45 obrotów na minutę. Po raz pierwszy ilość sprzedanych „małych" singli zaczyna być większa od tradycyjnych 78 obrotowych płyt. Pojawiają się pierwsze 10 calowe „long play,e" płyty długogrające odtwarzane z rewolucyjnie małą prędkością 33 1/3 obrotów na minutę. Pojawia się nieznane wcześniej pojęcie „high fidelity" (hi- fi) świadczące o wysokiej jakości nagrania. Zamożność zwykłych ludzi, po obydwu stronach Atlantyku, i idąca za nią ogólna dostępność domków, mieszkań, samochodów i zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego staje się powszechna, jak nigdy dotąd.

Jednak mimo tak znakomitej koniunktury gospodarczej i ogromnego rozwoju ekonomicznego i technicznego niezmienna pozostała ogromna różnica na tle rasowym. Biali mieli swoje mieszkalne części miast, swoje miejsca pracy, swoje rozrywki i swoją muzykę, tak samo jak czarnoskórzy mieszkańcy Ameryki Północnej i Europy Zachodniej, którzy nadal pozostawali obywatelami drugiej kategorii. Muzyka pozostawała dla nich dziedziną życia i twórczości, w której mogli się najpełniej wypowiedzieć, najbardziej spełnić. Dlatego w połowie lat pięćdziesiątych swe złote lata przeżywały takie gatunki muzyczne jak: miejski i podmiejski blues i jego wykonawcy T-Bone Walker, B.B.King, Muddy Waters, Howlin Wolf, Sonny Boy Williamson, Jimmy Reed, John Lee Hooker, Blind Boy Fuller, Robert Johnson, religijny gospel i śpiewający go: Mahalia Jackson, James Cleveland, The Statesmen, The Blackwood Brothers, Brown's Ferry Four i wielu innych. Rhytm and blues: Lloyd Price, Joe Turner, Ray Charles, Jimmy Forrest, The Platters, doo-woop zwany też „street corner harmony" (harmonicznością z rogu ulicy), gdzie lubili popisywać się śpiewaniem a' capella w najbardziej podejrzanych dzielnicach Nowego Jorku takich jak Bronx, Brooklyn czy stricte czarny Harlem członkowie grup o dziwacznych nazwach jak: The Penguins, The Flamingos, Cadillacks, The Chords,

The Cleftones, The Harptones, The Clovers i tysiące, tysiące innych, i ostatni, ale jakże ważny czarny jazz: Cab Calloway, Sonny Rollins, Sonny Stitt, John Coltrane, Dexter Gordon, Art. Blake'y Jazz Messengers, Mal Waidron, Johny Griffin i znakomite big-bandy z Dukeiem Ellingtonem i Countem Basie na czele. Starsi, biali mieszkańcy Stanów po przeminięciu epoki big bandów słuchali tak znakomitych piosenkarzy jak: Bing Crosby, Perry Como, Frankie Laine, Frank Sinatra, Tony Bennet, Vic Damone, Dinah Shore, Jo Stafford, Rosemary Cloonej, Kay Starr, Patti Page i Georgia Gibbs. Ich nagrań słucha się z przyjemnością i dziś, natomiast większość z nich miała dla młodego pokolenia połowy lat pięćdziesiątych wadę nie do pokonania, nie można było przy nich tańczyć!

Młode pokolenie białych coraz bardziej skłaniało się do słuchania i kupowania płyt z muzyką country i jej odmianami: bluegrass, który śpiewali m.in.: Earl Scrugs, Bill Monroe, czy Stanley Brothers, honkytonk: Ernest Tubb, Kitty Wells, Webb Pierce, Lefty Frizzell, Hank Williams, Roy Acuff czy Hank Snow. Najchętniej słuchano rockabilly i wykonujących ją młodych, pełnych energii i entuzjazmu wykonawców : Carla Perkinsa, Roya Orbisona, Jerry Lee Lewisa, Elwisa Presleya nagrywających dla memphiskiej niezależnej wytwórni Sun oraz braci Dorseya i Johnn'ego Burnette'ów. Trzeba pamiętać, że dopiero pomieszane w różnych proporcjach, w kilku odrębnych nurtach wszystkie te gatunki muzyki eksplodowały w końcu jako fenomen zwany rock and rollem.

Pierwsze profesjonalne nagranie Elvisa Presleya, dokonane 6 lipca 1954 roku dla wspomnianej już wytwórni Sun Sama Philipsa : „Blue Moon of Kentucky" Billa Monroe'a i „That's All Right (Mama) Big Boy'a Crudupa były udanym połączeniem bluesa i bluegrass i uważa się je za jedne z pierwszych utworów muzyki rockowej. Wypada dodać, że w tym nagraniu towarzyszyli Elvisowi muzycy studyjni Sama Philipsa, Scotty Moore na gitarze i Bill Black na kontrabasie. 19 lipca 54 roku wydano te piosenki na płytce oznaczonej w katalogu jako Sun 209, zaś 7 sierpnia branżowe pismo „Billboard" zamieściło pochlebne omówienie tej płytki w dziale „ country and western" nazywając Elvisa „poważnym, młodym talentem".

Trzy miesiące wcześniej, 12 kwietnia 1954 roku blisko trzydziestoletni piosenkarz o countrowych doświadczeniach Bill Haley z własnym zespołem The Comets, który wcześniej nosił nazwę The Saddlemen a składający się z jeszcze starszych od wokalisty muzyków nagrał w studio Pythian Temple w Nowym Jorku nową wersję piosenki niezbyt znanego zespołu Sonny'ego Dae'a & The Knights pod tytułem „Rock Around The Clock". Producentem sesji był doświadczony Milt Gabler, a nagrań dokonywano dla wytwórni Decca. Pucołowaty, dość ociężały Haley będący w wieku trzydziestu lat, z wyglądu nie bardzo mógł uchodzić za pierwszego idola

młodzieżowej publiczności, ale dla młodych ważna była właśnie ta inna, głośna i rytmiczna – fantastycznie nadająca się do tańczenia muzyka Rock and Roll !!!!!

Kiedy wytwórnia Decca wydała 12 lipca płytkę „Rock Around The Clock", w Stanach Zjednoczonych przeszła ona bez echa i śladu na liście przebojów. Dopiero kiedy piosenkę tę wykorzystano jako lustrację muzyczną do czołówki filmu Richarda Brooksa „The Blackboard Jungle" („Szkolna dżungla") z Glennem Fordem, jako nauczycielem borykającym się z tzw. trudną młodzieżą, czyli szkolnymi chuliganami 9 lipca 1955 roku piosenka ta znalazła się na pierwszym miejscu listy przebojów tygodnika „Billboard", gdzie niespodziewanie królowała przez kolejne osiem tygodni.

W tym samym czasie weszła na listy przebojów piosenka Pata Boone'a „Ain't That A Shame" będąca wygładzoną lekko wersją utworu czarnoskórego wykonawcy Fatsa Domino. Stała się ona później pierwszym milionsellerem tego młodego, białego obiecującego piosenkarza. Jednocześnie pierwszy raz pojawiła się na ogólnoamerykańskiej liście przebojów muzyki country piosenka dwudziestoletniego zaledwie Elvisa Presleya „Baby Let's Play House", nagrana dla wytwórni z Memphis Sun Records, na dziesiątym miejscu. Poprzednie płyty Elvisa znajdowały się wyłącznie na lokalnych listach przebojów w Memphis. Tak oficjalnie narodził się rock and roll.

Następne miesiące przynosiły sukcesy nowym nagraniom i nowym wykonawcom rock and rolla, w sierpniu 55 roku Chuck Berry i jego pierwsza przebojowa piosenka „Maybellene" dotarła do piątego miejsca na liście „Billboardu". Na początku września na listę przebojów rythm and bluesowych dostała się i dotarła do drugiej pozycji piosenka „I Hear You Knackin" Smileya Lewisa, zaś w połowie tego miesiąca Little Richard nagrał swoje nieśmiertelne „Tutti Frutti".

Bill Haley po odrzuceniu 15-to dniowego, płatnego po 2000 dolarów dziennie tourne po Australii (głównie ze strachu przed lataniem samolotami) 22 września wszedł wraz ze swoimi Cometami do studia Pythian Temple jeszcze raz by nagrać swe późniejsze, wielkie sukcesy, klasyki gatunku : „Rock A-Beatin' Boogie", „R.O.C.K.", The Saints Rock'n'Roll" i Burn That Candle". Obok Billa Haleya śpiewającego i grającego na gitarze w nagraniu uczestniczyły „komety" w składzie: Budy Pompilli pierwszy raz na saksofonach, Fran Beer na gitarze, Billy Williamson na gitarze stalowej (hawajskiej), Al Rex na kontrabasie, Johnny Grande - fortepian i Ralph Jones – perkusja.

30 września nie tylko młodą Ameryką wstrząsnęła tragiczna i przedwczesna śmierć młodego (miał zaledwie dwadzieścia cztery lata) aktora filmowego i idola nastolatków Jamesa Deana, którego role w filmach „Rebel Without A Case",

(„Buntownik bez powodu”), „East Of Eden” („Na wschód od Edenu”) i „The Giant” („Olbrzym”) przyniosły mu ogromną popularność, szczególnie wśród młodej publiczności, która bardzo mocno się z nim identyfikowała i część z niej nie mogła uwierzyć w jego śmierć.

Najczęściej graną w amerykańskich rozgłośniach radiowych piosenką rythm and bluesową był utwór „Pledging My Love” wielki, pośmiertny przebój Jonny'ego Ice'a, który w grudniu 54 roku zastrzelił się przypadkowo bawiąc się bronią w garderobie, w przerwie koncertu w Houston w Teksasie.

Była to pierwsza tak poważna strata ery rock and rolla, i jak twierdzą krytycy odszedł przedwcześnie jeden z najbardziej utalentowanych wokalistów tego czasu.

22 listopada „pułkownik” Tom Parker podpisał ogromny, jak na owe czasy kontrakt dwudziestoletniego Elvisa Presleya z wielką wytwórnią płytową R C A Victor Records.

Sam Philips otrzymał zwrotną sumę 25000 dolarów za odstąpienie kontraktu Elvisa z wytwórnią Sun Records, Hi – Lo Music otrzymała kolejne 10000 dolarów za odstąpienie praw publikacji i rozpowszechniania nagrań Elvisa, zaś sam Elvis dostał 5000 dolarów, za które natychmiast kupił sobie nowiutkiego Cadillaca. R C A otrzymała wszystkie opublikowane i nie opublikowane nagrania dokonane przez Sama Philipsa dla Sun Records z udziałem Elvisa. Nikt wtedy nie przeczuwał ile razy więcej ta 40000 dolarowa transakcja przyniesie zysków w bliższej i dalszej przyszłości.

W grudniu pamiętnego 1955 roku po raz pierwszy w historii na dorocznej edycji nagród prestiżowej B. M. I. (Broadcast Music Inc.) z 23 wyróżnień aż 11 otrzymały utwory rythm and bluesowe zaznaczając tak dobitnie swe wejście na komercyjny rynek muzyczny oraz w amerykańskim radiu.

19 grudnia w studiu Sun Records nagrał swą własną kompozycję „Blue Suede Shoues”, która przyniosła sławę i nieśmiertelność autorowi stając się jednym z ważniejszych utworów rock and rollowych w historii młody, dynamiczny wykonawca – Carl Perkins.

O tym, że rok 1955 był rokiem przełomowym muzycznie świadczą najpopularniejsze piosenki roku w U.S.A :

1.Sincerely – McGuire Sisters – 10 tygodni na pierwszym miejscu listy przebojów Billboardu.
2.Cherry Pink And Aplle Blossom White – Perez Prado ze swoją orkiestrą – 10 tygodni na czele listy.
3.Rock Around The Clock – Bill Haley & His Comets – 8 tygodni na I miejscu.

4.Sixteen Tons – Tennesee Ernie Ford – 8 tygodni na pierwszym miejscu.

I w Anglii :

1.Rose Marie – Slim Whitman – 11 tygodni na I miejscu – rekord niepobity przez 36 lat ! Zrobił to dopiero, między 20 lipca a 19 października 1991 roku Bryan Adams swą piosenką „Everything I Do I Do It For You)” przez 14 tygodni !
2.Give Me Your Word – Tennesee Ernie Ford – 7 tygodni na czele listy.
3.Rock Around The Clock – Bill Haley & His Comets – 5 tygodni nr I.
4.The Man From Laramie – Jimmy Young – 4 tygodnie przebój nr I w Anglii.

Spotkamy się w fascynującym roku 1956 !

Tadeusz Rusinek

Rok 1955 - a co było u nas

Połowa lat 50-tych to pełna stagnacja w polskiej muzyce rozrywkowej i w polskiej piosence. W Stanach Zjednoczonych już powstał rock and roll, już przeboje w tym stylu nagrywał Bill Halley. U nas o rock and rollu nawet nie można było poczytać, bo krajowa prasa pomijała ten temat. A o słuchaniu nagrań w tym stylu można było tylko marzyć. Polskie Radio nadawało zupełnie inną muzykę.

Kopalnią wiadomości na temat muzyki rozrywkowej roku 1955, i paru następnych lat, są radiowe katalogi, w których jest zanotowane bardzo dokładnie to wszystko, co trafiało wtedy do radiowej taśmoteki i na antenę.

Królowała orkiestra Stefana Rachonia i jej liczni soliści: Józef Gawryluk, Marian Woźniak, Romuald Naruszewicz. Orkiestra Rachonia grała melodie Suppego, tematy operetkowe, i różnego rodzaju burleski, parafrazy, uwertury, miniatury. Bardzo popularna była także muzyka Izaaka Dunajewskiego, i innych radzieckich kompozytorów muzyki rozrywkowej. Z Rachoniem nagrywał Chór Czejanda, Bogdan Niewinowski, Mieczysław Fogg. Były też inne zespoły radiowe: w Katowicach (przez pewien czas Stalinogród), popularnością cieszyła się orkiestra Jerzego Haralda, na tle której nagrywali: Maria Koterbska i Janusz Gniatkowski. „Pod parasolem", „Zachodzi słoneczko" i „Żaby i sport" to ówczesne nagrania Koterbskiej z grupą wokalną „Wesoła Czwórka". Również z 1955 roku pochodzi pamiętny do dziś przebój Marii Koterbskiej „Mój chłopiec piłkę kopie", zachwalający uroki sportowego życia i wychowania w drużynie.

Zbigniew Kurtycz nagrywał wtedy z kwartetem Kazimierza Turewicza – jego ówczesne przeboje „Tak czy nie", „Za dzień już nie spotkamy się w wielkim świecie", „Cicha woda" i „Andriusza" nie zestarzały się do dziś. Z grona dość nudnie i bez polotu śpiewających solistów połowy lat 50-tych, pozytywnie wyróżniali się właśnie Maria Koterbska i Zbigniew Kurtycz, do ówczesnej mody wnoszący elementy swingu, muzyki synkopowanej. Miłość do jazzu, czy quasi jazzu wyniósł Kurtycz jeszcze z czasów wojennych, kiedy to w armii Andersa, wraz z którą przeszedł niemal cały szlak bojowy, śpiewał liczne standardy Glenna Millera, ze słynną „Chatanooga choo choo" na czele.

Wielu solistom akompaniował Chór Czejanda, założony w roku 1946, na gruzach stolicy, przez Czesława Januszewskiego (pseudonim Czejand) – prócz niego zespół ten tworzyli także: Adam Muszyński, Roman Szach i Zygmunt Sylwestrowicz. Chór Czejanda śpiewał wtedy wszystko, czy prawie wszystko – piosenki rosyjskie, pieśni o odbudowie kraju, odbudowie stolicy i jej uroczych zakątkach, typowe, rozrywkowe przeboje, piosenki ludowe, a także jedną! piosenkę roch and rollową, słynny „Rock

around the clock" z repertuaru Billa Halleya. Ale to już późniejsza historia, z roku 1957. Właściwie prawie wszyscy ówcześni soliści śpiewali na tle Chóru Czejanda: Mieczysław Fogg, Andrzej Bogucki, Janina Godlewska, Leopold Nowosad, Barbara Barska. Solistom tym akompaniowała najpierw orkiestra Jana Cajmera, a po jego wyjeździe z kraju głównie Stefana Rachonia.

Były też inne zespoły instrumentalne – wspomniany zespół Kazimierza Turewicza, Orkiestra Mandolinistów Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia pod dyrekcją Edwarda Ciukszy, Kwintet Taneczny Włodzimierza Bieżana, Krakowskie Orkiestry Radiowe Jerzego Gerta i Stanisława Hasa, Zespół Mieczysława Janicza, a z pianistów - akompaniatorów: Czesław Aniołkiewicz, Jerzy Abratowski, Marian Radzik. Nagrywano beguiny, rumby, foxtrotty, walce, tanga, samby, serenady, polki. Śpiewający pianista Julian Sztatler nagrywał takie piosenki jak m.in. „Już minął dzień", „Dziewczyna z Gór Libanu", „Podarunek" czy „Warszawskie niebo". Piosenki operetkowe w Polskim Radiu w roku 1955 śpiewali: Kazimierz Pustelak, Wanda Wolańska, Tomasz Dąbrowski, Jadwiga Jaroszówna, Krystyna Bodalska, Barbara Muszyńska i wiele innych pań i panów.

Operetka należała do często nagrywanego i nadawanego repertuaru – miały swe radiowe premiery takie operetki jak na przykład „Życie Paryskie" i „Piękna Helena" Offenbacha, „Paganini" i „Wesoła wdówka" Lehara, „Fijołki Montrmartre" i „Hrabina Marica" Kalmana, a także „Piękna pasterka", „Orfeusz w piekle", „Jarmark Lalek" i „Chybiona edukacja". Dzieła te nagrywały zarówno polskie orkiestry, jak i zespoły berlińskie czy paryskie.

I jeszcze rzut oka na to, co w roku 1955 wydało Państwowe Przedsiębiorstwo Polskie Nagrania. Płyt nie było wiele, z tej skromnej liczby, która w dorobku firmy zachowała się do dziś , trudno byłoby zebrać pełną płytę CD.

Oto kilka nazwisk i kilka tytułów, które być może naszym starszym Czytelnikom mówią wiele: Andrzej Bogucki – „Nie będziesz ty, to będzie inna", Mieczysław Fogg – „Siwy włos" i „Kochana", Maria Koterbska – „Nie o mnie", Olgierd Buczek – „Jak przelotne jest nasze spotkanie", Zbigniew Kurtycz – „Jadę do ciebie tramwajem" i „Miasteczko gitarowe". Były też śladowe ilości jazzu: nagrania zespołów Andrzeja Kurylewicza, Stefana Bugi, Jana Walaska, oraz Carmen Moreno. Niewiele tego.

Jak się ma ta produkcja naszej jedynej firmy płytowej, do tego, co działo się na świecie?

Komentarz nasuwa się sam – tam powstały już arcydzieła muzyki rock and rollowej (Billy Halley, Chuck Barry, Little Richard, Pat Boone), tam wspaniałe bluesy nagrywał B.B.King, tam cudownie swingowali: Frank Sinatra i Nat King Cole, tam czarował swym głosem Dean Martin, swymi smyczkami Mantovani. A u nas muzyka

tkwiła w jakimś zaścianku, dominowały archaiczne aranżacje, i styl śpiewania dyktowany przez Mieczysława Fogga. Nasz Chór Czejanda może by nawet potrafił zaśpiewać jak niezrównani Plattersi, gdyby tylko pozwolono mu na nieco nowocześniejszą aranżację, na nagranie muzyki nie tak bardzo demodé.

Na koniec tych wspomnień z roku 1955 przypomnijmy sobie kilka faktów i wydarzeń, które na zawsze pozostawią ślad w naszej kulturze. Odbyła się premiera debiutanckiego filmu w reżyserii Andrzeja Wajdy zatytułowanego „Pokolenie", Prezesem Polskiego oddziału Pen Clubu został Jerzy Parandowski, sporą aktywność przejawiały studenckie kabarety – warszawski STS (premiera programu „Konfrontacje" w reżyserii Jerzego Markuszewskiego), i gdański Bim Bom – kabarety te, jak pisano, broniły jednostki w kulcie kolektywizacji. W ramach restrukturyzacji (używając języka dzisiejszego), powołano do życia zespoły filmowe, które na długie lata zdominowały, zmonopolizowały produkcję naszych filmów: Iluzjon, Kadr, Rytm, Start, Studio, Syrena. W roku 1955, w Warszawie odbył się V Festiwal Młodzieży i Studentów. Odwiedziło naszą stolicę ponad 30.000 gości ze 114 państw świata. Otwarcie festiwalu nastąpiło na oddanym do użytku Stadionie X-lecia. To na pewno przyczyniło się do rychłego otwarcia Polski na świat, zwłaszcza w dziedzinie kultury, która to odwilż nastąpiła w latach 1956, 57. A propos odwilży – tak właśnie zatytułowana książka Erenburga wydana została w Związku Radzieckim właśnie w 1955 roku. Wielki i to w dosłownym znaczeniu tego słowa – był prezent w postaci Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina, który mieszkańcy Warszawy w roku 1955 otrzymali w darze od narodów radzieckich. Wracając do spraw naszej kultury – w roku 1955 tygodnik „Nowa Kultura" ogłosił wyniki ankiety na dziesięć najlepszych książek powojennego 10-lecia. Oto wyróżnione pozycje: I –„Pamiątka z celulozy" Igora Newerly'ego, II – „Medaliony" Zofii Nałkowskiej, III – „Obywatele" Kazimierza Brandysa, IV – „Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego, V - „Niemcy" Leona Kruczkowskiego. Również w roku 1955 odbył się w Filharmonii Narodowej V Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny Imienia Fryderyka Chopina – I miejsce zajął Adam Harasiewicz, a za nim uplasowali się: radziecki pianista Aszkenazy i chiński wirtuoz fortepianu Fu Tsong. Z okazji Konkursu Jarosław Iwaszkiewicz gościł w naszym kraju Królową Belgów.

W roku 1955 zmarli m.in. Tadeusz Sygietyński, założyciel Mazowsza od roku 1948 (żył 59 lat), i aktor, reżyser, dyrektor teatrów Aleksander Zelwerowicz (żył lat 78).

Marek Gaszyński

SONDA

Z czym kojarzy się Panu, Pani wyraz fonosfera?

Jaka jest Pana, Pani opinia na temat muzyki lat 50-tych?

MONIKA LUFT - dziennikarz

Fonosfera, muszę się zastanowić. Fono związane jest z dźwiękiem, a więc określając wprost: fonosfera to obszar dźwiękowy.

Muzyka lat 50-tych to dla mnie przede wszystkim Presley, a w Polsce na wizerunku sceny muzycznej zaważyły wydarzenia polityczne tego okresu.

MACIEJ ZEMBATY – satyryk, poeta, pisarz, tłumacz

Fonosfera kojarzy mi się z dźwiękiem, ze sferą otaczających nas dźwięków naturalnych i nienaturalnych.

Im jestem starszy, tym mój stosunek do muzyki lat 50-tych staje się coraz bardziej sentymentalny. Patrząc trzeźwiej, była to straszliwa propaganda komunizmu.

BARBARA BORYS-DAMIĘCKA – reżyser, dyrektor Teatru SYRENA

Fonosfera to wszystko co łączy się ze sferą muzyczną, dźwiękową, nowe, nieznane, niekoniecznie nazwane, lecz powiązane z dźwiękiem.

Muzyka lat 50-tych dobrze mi się kojarzy, bo to moje dzieciństwo i młodość, muzyka światowa była wtedy słabo spopularyzowana, a więc przeważała muzyka środka.

MAŁGORZATA PRZEDPEŁSKA-BIENIEK – konsultant muzyczny

Fonosfera – ezoteryczna, muzyczna, sound design, łączenie muzyki z efektami dźwiękowymi.

Początek lat 50-tych to pieśni masowe i rosyjskie wojenne, przerabiane na wszystkie możliwe sposoby na nadające się do tańca. Druga połowa to rock and roll i Presley, początek jazzu i muzyki parajazzowej.

KRZYSZTOF KOWALEWSKI – aktor

Fonosfera – przestrzeń dźwiękowa.

W latach 50-tych, gdy dorastałem, żyliśmy w specyficznym kręgu zamkniętego kraju. Do naszych uszu docierały rodzime kompozycje, będące dysonansem w stosunku do tego co działo się za zachodnią granicą, a od czego ze względów ideologicznych nas odgrodzono.

JACEK JANCZARSKI – pisarz, satyryk, scenarzysta, reżyser

Fonosfera to odgłosy sfery niebieskiej.

Lata 50-te... byłem wtedy w przedszkolu, znałem na pamięć piosenki Mirskiej, Koterbskiej. Muzyka była bardziej popularna, częściej się jej słuchało i śpiewało. To co jest teraz niejednokrotnie trudno jest zaśpiewać.

JAN TOMASZEWSKI – sportowiec, trener

Fonosfera – muzyka całego świata, napływająca na antenę radiową

W muzyce lat 50-tych zaznaczyły się dwa nurty. Pierwszy, legalny, czastuszki, muzyka chóralna, to co powinno się śpiewać. Drugi, nielegalny, "Radio Luksemburg" oraz Wyrobek, Niemen, Gąsowski, wzbudzający większe zainteresowanie jako wentyl wolności.

JADWIGA KOFTA – pisarka, scenarzystka

Fonosfera – czy z czymś mi się kojarzy? Niespecjalnie.

W latach 50-tych jako dziecko bez przerwy śpiewałam różne Lerskie, Mirskie, Rolskie i Gniatkowskiego, akademie w szkołach zostały opanowane przez piosenkę produkcyjną typu "Budujemy nowy dom".

STEFAN FRIEDMAN – aktor, satyryk, literat, scenarzysta

Fonosfera kojarzy mi się z balonem.

W latach 50-tych byłem piękny i młody i słuchałem Presleya i Fatsa Domino.

EWA BŁASZCZYK – aktorka

Fonosfera – z dźwiękiem i z kosmosem, wystrzelili mnie w przestrzeń i poruszam się w sferze dźwięku, zdecydowanie poza Ziemią.

W epoce plastików, sztucznych biustów i muzyki komputerowej mój stosunek do muzyki lat 50-tych (pomijamy kierunki wschodnie) jest zdecydowanie pozytywny. Lubię coś co jest blisko ciała, tęsknię do dźwięku mandoliny wypływającego z duszy, który jest bliżej człowieka, nie mechaniczny, tylko miły i ciepły.

Mariola Stańczak

Wkładka specyficznego humoru

BANKOMAT

Drodzy Czytelnicy, chciałbym zastrzec, że tekst poniższy niewiele ma wspólnego z fonografią i jej problematyką. Dodam jednak, że powstał bez konkretnego zamówienia, a jedynie po to, aby się przekonać, czy autor potrafi składać litery. Nadmieniam również na pocieszenie (oczywiście, jeżeli ktoś się zmartwił), że nie ma on wiele wspólnego także z bankomatem, umieszczonym w tytule. Nie zamierza obrazić żadnego polityka, ani napiętnować jakiegokolwiek systemu sprawowania władzy. Powstał spontanicznie, a tematykę jego sprowokował fakt, że autor akurat wówczas przebywał w banku.

Kurkiewicz nie pamiętał już dlaczego pewnego dnia, w samym środku nocy postanowił wstać z łóżka i bez większych ceregieli pojechać do banku. Być może działał pod wpływem snów erotycznych, które nawiedzały go niezmiennie od lat, zawsze piętnaście minut przed godziną pierwszą piętnaście, a może po prostu postanowił, że z samego rana pewną gotówkę zainwestuje w nieruchomości. Zresztą sam Kurkiewicz specjalnie się nad tym problemem nie zastanawiał.

Nocna podróż do bankomatu nie zajęła wiele czasu i można ją określić jako nadzwyczaj mało interesującą. Po blisko pół godzinie Kurkiewicz stanął przed sporych rozmiarów gmachem, który zwykle przyprawiał go o poczucie zakłopotania. Budynek za dnia tętniący życiem, teraz wydawał się kompletnie zapomniany, co ośmieliło Kurkiewicza i sprawiło, że raźno wbiegł po schodkach, prowadzących do bankomatu. Nonszalanckim ruchem posiadacza konta wsunął kartę do bankomatu, którą ten posłusznie połknął z radosnym, elektronicznym tirlitirli i powrócił do stanu poprzedniego, nie zapewniając Kurkiewiczowi gratyfikacji finansowej. Uśmiech triumfu dość długo znikał z twarzy Kurkiewicza. Przyczyną takiego stanu rzeczy mógł być jednak dość mizerny współczynnik inteligencji naszego bohatera, albo fakt, że zaangażował się ostatnimi czasy w uważne oglądanie programów telewizyjnych, co zresztą w tym przypadku na jedno wychodzi. Jednak po kilkunastu minutach intensywnego myślenia nad zaistniałą sytuacją Kurkiewicz podjął bardziej zdecydowane i jak mu się wydawało nadzwyczaj agresywne kroki. Pochylił się nad machiną i wskazującym palcem, z niemal nabożną czcią człowieka pierwotnego stojącego przed ogniskiem, postukał w ekran bankomatu. Efektem tego był dalszy kompletny brak reakcji urządzenia oraz pojawienie się sporych rozmiarów umundurowanego człowieka, który stanął za plecami Kurkiewicza. Człowiek ów pokiwał głową ze zrozumieniem, co obserwując mimikę jaką jego twarz wykonała przy tej okazji, nieodparcie nasuwało się przypuszczenie, że nie jest to dla niego naturalny stan. Ponieważ samo kiwanie głową nie przerwało Kurkiewiczowi stukania w bankomat, stojący za nim funkcjonariusz ochrony banku zaznaczył swoją obecność

bardziej oficjalnie:
- Niszczymy bankomat, co?
Zaskoczony obecnością kogoś poza nim samym Kurkiewicz przestraszył się w pierwszej chwili, co zresztą nie uległo specjalnej zmianie w chwilach następnych. Przez pewien czas nie mógł wykrztusić słowa. Ochroniarz natomiast najwyraźniej zadowolony z wrażenia jakie zrobił na intruzie popadł w pierwszej błogi samozachwyt. Skutkiem tego przez dobre dwie minuty obaj panowie stali naprzeciw siebie bez słowa. Ciszę przerwał Kurkiewicz, co gdyby go ktoś lepiej znał, wiedziałby, że nie jest to częste zjawisko:
- Ja... tylko chciałem wziąć pieniądze.
Na twarzy Ochroniarza pojawił się tym razem wyraz politowania, dość długo generowany w jego mózgu. - Znaczy się, nie wandal, tylko złodziej.
- Ależ skąd... ja tu mam swoje oszczędności...
Ochroniarz rozejrzał się dookoła zdziwiony. Najwyraźniej do tej pory nie przyszło mu do głowy, aby ktoś mógł wpaść na pomysł trzymania tu oszczędności. Zachował jednak stoicki spokój i rozkazującym tonem prowadził dochodzenie: -
To znaczy...?
- Chciałem wyciągnąć trochę pieniędzy... swoich pieniędzy... z mojego konta. Włożyłem kartę, a bankomat mi ją połknął...
- Zawsze tak robi – z dumą przerwał mu Ochroniarz. Kurkiewicz tym razem był jednak nieustępliwy.
- Tylko, że później ją oddaje, razem z pieniędzmi.
Ochroniarza olśniła oczywistość powyższej wypowiedzi, której jakoś wcześniej nie skojarzył.
- Rzeczywiście.
Wybełkotał.
- A ten mi nie oddał. – kontynuował Kurkiewicz.
- Jest pan pracownikiem tego banku, ma pan jakieś obowiązki. Może mi pan pomóc?
- Mogę pana zastrzelić.
Ochroniarz z dumą pokazał na kaburę z rewolwerem, wiszącą u jego boku.
- Wolałbym nie... – Kurkiewiczpotrafił być delikatny.
- Chcę tylko kartę i pieniądze, i już sobie pójdę...
Ochroniarz był niepocieszony.
- W takim razie może mógłbym pana chociaż uderzyć, czy jak? – spytał z nieukrywaną nadzieją w głosie. - Ale dlaczego?
- Bo lubię... – Ochroniarz unikał pytającego wzroku Kurkiewicza.
- To ja już pójdę. Wrócę tu... jutro, albo kiedyś...
Kurkiewicz odwrócił się od smutnego aktualnie Ochroniarza i pospiesznym krokiem oddalił się od banku. Przechodząc przez ulicę, kątem oka zauważył duży,

podświetlony napis: “MASZ PROBLEM Z BANKIEM – PRZYJDŹ DO NAS”.
Kurkiewicz ostrożnie zajrzał do otwartego mimo nocnej pory wnętrza. Przy stoliku siedział mały człowieczek, o szczurowatej twarzy i niemal czerwonych włosach. Człowieczek bez przerwy zacierał dłonie jakby było mu zimno.
- Dzień dobry, czy to bank? – zagaił Kurkiewicz.
- A chciałby pan? – pytaniem na pytanie odpowiedział Człowieczek.
Kurkiewicz odniósł wrażenie, że cała ta rozmowa zaczyna nudzić jego rozmówcę, co mogło świadczyć jedynie o tym, że ma do czynienia z rasowym urzędnikiem.
- Nooo... myślałem, że to bank... - Aha, w takim razie to bank, oczywiście, że bank, tylko bank, żadnych panienek.
- Jakich panienek? - Kurkiewicz był zaskoczony bardziej niż normalnie.
- Przecież mówię, że żadnych. – Zmęczenie Człowieczka zaczęło sięgać zenitu.
- Słucham pana.
- Widzi pan, mam konto w banku, tu obok.
Człowieczek pogardliwie wydął usta, na moment zwolnił tempo zacierania dłoni i prychnął:
- U nich? Tam nie ma nawet porządnych panienek... zresztą tak jak u nas.
- Bardzo potrzebuję pieniędzy, a bankomat zabrał mi kartę. Mógłby mi pan jakoś pomóc?
Tym razem Kurkiewicz mógłby przysiąc, że Człowieczek jest rozczarowany. Jego dłonie przez kilka chwil pozostawały nawet w całkowitym bezruchu. Wreszcie wycedził przez zaciśnięte zęby:
- Oczywiście. Musi pan po prostu wypełnić formularz, w którym przeleje pan swoje pieniądze z tamtego, głupiego banku, do naszego.
- Czy to skomplikowany formularz? – Kurkiewicz bał się skomplikowanych formularzy.
- Nie bardzo. – Uspokoił go Człowieczek i wręczył mu kartkę wielkości biletu autobusowego. Po bliższym zapoznaniu, okazało się zresztą, że rzeczywiście jest to stary, skasowany bilet, na którego rewersie ktoś nabazgrał: ”Zgadzam się przelać pieniądze do...” dalej podana była nazwa i adres banku, oraz miejsce na podpis wnioskodawcy.
- Decyduje się pan, bo nie mam czasu? – Człowieczek przerwał milczenie.
- No dobrze, ale czy to jest bezpłatne? - Proszę pana... przypominam, że jest pan w banku, a nie na degustacji sera.
- Przepraszam, w takim razie ile to kosztuje?
- To zależy ile ma pan na koncie?
- Prawie trzy tysiące. – W głosie Kurkiewicza pojawiła się nieskrywana nutka dumy.
Równocześnie Człowieczek westchnął żałośnie:
- O Jezu...

- Co?
- Nic, ale swoją drogą wstydziłby się pan. Podpisujemy, czy nie?
Kurkiewicz zauważył, że Człowieczek zaczął rozglądać się za jakimś innym zajęciem niż rozmowa z nim, o czym świadczyło choćby to, że stanął do niego plecami.
- Podpisujemy, tylko ile to kosztuje?
- Proszę pana to jest procent od pana kwoty.
- Ale ile procent – Kurkiewiczowi imponowała własna nieustępliwość.
- Sto.
- Ale sto, to bardzo dużo.
- Proszę pana, jakby było mniej, to nasz bank nie miałby dużo pieniędzy, a nasz bank chce mieć dużo pieniędzy, czy to się panu podoba, czy nie.
- No, ale... – zaczął Kurkiewicz, ale Człowieczek mu przerwał.
- Chyba nie chciałby pan trzymać pieniędzy w biednym banku, co, no chciałby pan?
- Nie chciałbym.
- No widzi pan. – tempo zacierania dłoni powoli wracało do normy. – A tak, zapłaci pan, dostanie pan kartę, która zawsze działa i problem z głowy.
Kurkiewicz był zdecydowany od dłuższego czasu podpisać umowę. Zależało mu tylko na wytargowaniu jak najkorzystniejszych dla siebie warunków.
- Dobra. Podpisuję – zdecydowanym ruchem złożył swój podpis. Nieco mniej poirytowany urzędnik natychmiast wręczył kartę do bankomatu, do złudzenia przypominającą zużyty bilet autobusowy. Kurkiewicz jeszcze się upewniał.
- Czyli co, teraz będę mógł w każdej chwili podjąć gotówkę?
- Teoretycznie tak.
- Czemu tylko teoretycznie?
- Bo praktycznie nie ma pan pieniędzy na koncie.
- No, ale gdybym miał...
Człowieczek przerwał po raz kolejny:
- Gdyby pan miał pieniądze, a my mielibyśmy bankomat, nie widzę przeszkód.
- Jak to, nie macie bankomatu? – Tym razem Kurkiewicz zdziwił się naprawdę bardzo. Człowieczek wykazał się jednak anielską cierpliwością, co poddało w wątpliwość to, czy rzeczywiście jest urzędnikiem.
- Nie. Jak do tej pory nie było potrzeby, więc nie chcieliśmy robić błędnych inwestycji. My dbamy o rozwój naszego banku, proszę pana.
Ostatnie zdanie Człowieczek wypowiedział stanowczo i wyprowadził Kurkiewicza z banku, trzymając go za ucho.
Mimo, iż droga powrotna do domu była równie nieciekawa, jak podróż do banku, Kurkiewiczowi minęła ona zdecydowanie szybciej. W głowie kłębiły mu się myśli. Analizował niedawne wydarzenia i choć nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy były one dla niego pozytywne, cieszył się, że w jego życiu nastąpiła zmiana. Od

czasu bowiem jak został producentem telewizyjnym, dni upływały mu zazwyczaj jednostajnie, a Kurkiewicz, jak większość ludzi marzył o ciekawych przygodach.

Aradiusz Borowik

do góry

ROZMOWY ZASŁYSZANE

Siedzę na ławce w parku. Nieopodal Dziewczyna z blokiem rysunkowym – coś rysuje węglem czy kredką. Przysiada się Chłopak. Dziewczyna patrzy przed siebie, podnosi kredkę do oka, najwyraźniej obserwuje rysowany obiekt. Chłopiec próbuje zacząć rozmowę.

- Dzień dobry.

Dziewczyna nawet na niego nie spogląda.

- Można wiedzieć co pani rysuje?
- Konia.

Chłopiec rozgląda się, ale najwyraźniej konia nie zauważa. Ja zresztą również.

- Tak pani rysuje z pamięć?
- Niestety nie. Mam bardzo słabą pamięć. O co pan pytał?

Chłopiec zastanawia się przez chwilę.

- Prawdę mówiąc nie wiem. Ja też z pamięcią nie za bardzo. Nawet nie pamiętam gdzie zaparkowałem samochód.
- Pan ma samochód?
- Jaki samochód?
- Nie pamiętam.
- Wie pani, zawsze zazdrościłem ludziom, którzy potrafią rysować.
- Wiem.
- Skąd?
- Mówił pan.
- Prawdę mówiąc... ja bardzo często kłamię.
- Mnie się to nigdy nie zdarzyło. Chociaż bardzo to lubię.
- Wracając do tematu, nigdy nie byłem w Ciechocinku.
- Niech pan żałuje, tam dopiero są wspaniałe konie.
- Właściwie to ja nie lubię koni. Są brzydkie, głupie, niszczą uprawy i nie z nich żadnego pożytku.
- Nieprawda! Z ich ogonów robi się smyczki. A z rogów piszczałki.

Chłopiec przytaknął ochoczo, ale nagle spoważniał.

•Czy pani też odnosi wrażenie, że ta nasza rozmowa jest delikatnie mówiąc stekiem bzdur?
•Przez grzeczność nie zaprzeczam.
•Dużo pani jeszcze zostało tego konia do narysowania?
•Już skończyłam. Z konia najbardziej interesuje mnie jego dusza.
•Ale to jest drzewo.
•Nie oceniaj mnie!
•To co? Pójdziemy do mnie?
•Trzeba było od razu tak mówić...

do góry

CO NOWEGO ?

Pigułki młodości

Od tysięcy lat ludzie na całym świecie szukali eliksiru młodości. Tymczasem epokowego wynalazku dokonał profesor Teodor Hektor Traktor, który po kilkudziesięciu latach dociekliwych badań stworzył pigułkę zapewniającą wieczną młodość. "Jest to kompilacja kilkunastu naturalnych składników w odpowiednich proporcjach i co niezwykle istotne w odpowiednim kształcie" – wyznał profesor Traktor w czasie pierwszej prezentacji rewolucyjnego środka. Wystarczy codziennie przed snem połknąć specyfik by po wszech czasy zachować pełnię sił witalnych i wspaniały wygląd. Jedyny problem stanowi wielkość pigułki, która ma rozmiar wagonu kolejowego. Profesor jest jednak optymistą i obiecuje, że za dwa lata przedstawi wersję zmniejszoną do rozmiarów taczki. (obok na zdjęciu profesor Traktor i jego pigułka) fotografia – uśmiechnięty facet oparty o wagon.

Archeologiczna sensacja

W czasie prac wykopaliskowych prowadzonych w Egipcie natrafiono na ślady nieznanej dotąd cywilizacji. Wśród odkopanych przedmiotów na szczególną uwagę zasługuje drewniana sztuczna szczęka, kamienny nóż o dwunastu ostrzach i jak zwykle zachowane w doskonałym stanie fragmenty wczesnych tekstów Marcina Wolskiego.

Co słychać u gwiazd

Po sukcesie kasowym "Titanica" Leonardo di Caprio rozpoczyna zdjęcia do drugiej części epopei pt.: "Titanic II", w której transatlantyk okaże się doskonałą łodzią podwodną.

Naomi Cambell wydaje kolejną książkę. Tym razem światowej sławy top-modelka przelewa na papier całą swoją wiedzę i doświadczenie zdobyte w ciągu lat pracy. Wydawca tego niewątpliwego bestselleru nie podjął jeszcze decyzji czy zostanie on wydany na jednej czy na dwóch stronach.

do góry

LISTY OD CZYTELNIKÓW

Wierz we wróżby!

Proszę o wydrukowanie mojego listu bo sprawa jest bardzo ważna, a ludzie ją lekceważą. Zawsze postępowałam zgodnie z horoskopem i nigdy na tym źle nie wyszłam, może z wyjątkiem zainwestowania wszystkich pieniędzy w spory ładunek odpadów nuklearnych. Lubię sobie wróżyć z kart, z dłoni, fusów, kurzu, obierek, kwiatków, biletów tramwajowych, wody, ziemi, powietrza i paprochów. Oczywiście nie jestem idiotką, która wierzy we wszystko co jej wyjdzie, i dlatego sprawdzam każdą wróżbę wielokrotnie. Ale bardzo często wszystkie możliwe wróżby powtarzają się, przepowiadając mi podróże, bogactwo, wspaniałego mężczyznę i długie życie. Jak do tej pory już mi się część spełniła: mam 150 lat i byłam Sochaczewie. I jak tu nie wierzyć we wróżby?

Apolonia z Krakowa.

MAriusz POlaczek

do góry

KABARET

Scena 1
Klasa.
Za biurkiem siedzi nauczyciel. W (nielicznych) ławkach siedzą: Jaś i Małgosia. Jedna ławka jest wolna. Nauczyciel otwiera dziennik i czyta: Jaś.
Jaś: Jestem
Nauczyciel: Małgosia
Małgosia: Jestem.
Nauczyciel: Piotrek.
Jaś: Piotrka nie będzie cały dzień, ale przyjdzie po lekcjach oddać prace semestralną.
Nauczyciel: No to lepiej dla niego, żeby na mnie trafił przed moim wyjściem, bo jutro nie przyjmę jego pracy. A więc przejdźmy do tematu, którym dziś będzie dodawanie.

Wstaje, podchodzi do tablicy i pisze: 6 +7 =
Odwraca się do uczniów i mówi: Jasiu, rozwiąż zadanie na tablicy.
Jaś wstaje i chowa coś za plecami.
Nauczyciel: A więc jaki jest wynik?
Jaś (wstydząc się): Nie wiem.
Nauczyciel: Nie wiesz! Przecież to jest bardzo łatwe zadanie!
Nauczyciel spostrzegł, że Jaś coś ukrywa.: A co masz za plecami... oddaj to!
Jaś podchodzi do biurka nauczyciela i stawia na ni pół pełną butelkę piwa.
Nauczyciel: Co to ma znaczyć?! Piwo na lekcji! Co masz na swoje usprawiedliwienie.
Jaś: Nic, proszę pana.
Nauczyciel powoli podchodząc do kosza na śmieci mówi: Młodzież pod żadnym pozorem nie powinna spożywać alkoholu, po czym staje przy koszu, rozgląda się czy nikt nie patrzy i sam bierze łyka. Wyrzuca butelkę do kosza i podchodzi szybko do swojego biurka. Patrzy na cały czas stojącego przy biurku Jasia i pyta: Kto ci w ogóle poddał taki pomysł.
Jaś: Pan, proszę pana., kiedy pan powiedział, że powinniśmy być tacy odpowiedzialni jak nasi rodzice.
Nauczyciel (lekko załamany): Niezupełnie to miałem na myśli. Siadaj, a ty Małgosiu znasz odpowiedź na zadanie na tablicy.
Małgosia (zdziwiona): Słucham?
Nauczyciel (zły): Czy ty w ogóle mnie słuchałaś?
Małgosia: Nie , proszę pana.
Nauczyciel: A co takiego ważnego w tej chwili robisz.
Małgosia: Czytam książkę.
Nauczyciel (zadowolony z Małgosi): A co czytasz, drogie dziecko?
Małgosia: Seks zbiorowy.
Nauczyciel (zdziwiony – zły): Co!... Znów grzebałaś w mojej szufladzie! Siadaj!
Słychać dzwonek.
Nauczyciel: Dzieci wychodźcie z klasy i pamiętajcie, żeby zostawić prace semestralne na moim biurku.
Dzieci wychodzą z klasy i zostawiają swoje prace na biurku nauczyciela. On bierze pracę i zaczyna czytać. W tym samym czasie wchodzi wspomniany wcześniej Piotr z karabinem maszynowym i pracą semestralną, kładzie pracę na biurku nauczyciela i mówi: Chcę zdać na celujący.
Nauczyciel (zirytowany): Na celujący bez celownika, coś ty niezdrowy?
Piotr (wkurzony) wychodzi, przy drzwiach mówi: Ja tu jeszcze wrócę.
Po wyjściu Piotra nauczyciel podchodzi do tablicy i pisze na niej wynik: 14.
Nauczyciel: Nareszcie dobry wynik.

Marcin Stańczak

do góry

SKLANOWANI

między koneserem a sirem (czyt.serem)

Dziś plotkujemy. Nie będą to ploteczki z wielkiego świata, lecz z tworzącej się w bólu i mozole klasy średniej, mieszczaństwa. Wejdziemy do apteki, w niej poflirtujemy z Klanem. Święci triumfy na pierwszym programie, w poniedziałki, wtorki i środy, o siedemnastej dwadzieścia pięć, doceniany przez 75% telewidzów. Rzec by można, potęga. A oto co nowego w aptekarskim domu.

Pani Elżbieta z domu Lubicz, zamężna z Jurkiem, właśnie rzuciła kochanka. Widzowie odetchnęli z ulgą, gdyż razem z rodzicami Eli bardzo się tym jej nieobyczajnym zachowaniem przejmowali. Fakt, że Jurek, mąż Eli, miał przez wiele lat, wiele kochanek, nikomu nie przeszkadzał, bo zawsze był dobrym ojcem. Ela rzuciła kochanka z własnej woli, aczkolwiek nie do końca, bez przyczyn dodatkowych. Bowiem jej syn – dobrze zapowiadający się piłkarz, pobity przez kibiców nie chciał się leczyć. Biedne osiemnastoletnie dziecko czuło się samotne i niekochane z powodu seksualnych wybryków matki, co właśnie przywiodło go na skraj samobójstwa. Matka – dla bliskich – Ela – skonfrontowana z tragedią fizyczną i psychiczną syna, zrozumiała swój błąd. W nagrodę za zerwanie moralnie nagannego związku, odnalazła nieśmiały wdzięk w wybrykach seksualnych z własnym mężem. Tak więc: rodzina została uratowana, i o to chodzi.

Sytuacja rodzinna Beaty, córki Eli i Jurka, nadal pozostaje niepewna. A było tak: Beata, studentka psychologii, poszła na lep dojrzałego mężczyzny, wziętego psychoterapeuty, w separacji z żoną. Ciężko za to odpokutowała, zachodząc w ciążę. A zaszła przypadkiem, stosując jedyny dostępny w rodzinie aptekarzy środek antykoncepcyjny – kalendarzyk małżeński. Wstrętny psychoterapeuta namawiał ją, aby usunęła dziecko. To samo robiła najlepsza przyjaciółka – Marta. Beata dzielnie oparła się atakom. Zerwała z wyrodnym przyszłym ojcem. Urodziła. Wtedy podstępny terapeuta, chcąc nadal mieć nad nią władzę, przygruchał sobie w charakterze donosicielki jej przyjaciółkę Martę. Gdy jednakowoż Marta odmówiła dalszego szpiegowania, do cna zdziczały psychoterapeuta, pobił dziewczynę. I tu pewna rozterka dla widza. Zgodnie z decyzją ministra Kapery, który cofnął dotacje na rzecz przeciwdziałania przemocy w rodzinie, w polskiej rodzinie przemoc istnieje. Więc jakżesz to możliwe, żeby on dał jej w zęby? Uważny telewidz, po namyśle, zrozumie w czym rzecz. To nie mąż dołożył żonie (na przykład Jurek żonie), tylko

obcy facet obcej dziewoi, więc ten pożałowania godny incydent w żaden sposób, nie naruszył świętej więzi rodzinnej.

Na tym zakończymy krótkie streszczenie dwóch wątków serialu. A wątków w Klanie jest zatrzęsienie, gdyż starsze, przedwojenne pokolenie dorobiło się pięciorga dzieci. Zebrane do kupy owe wątki dają nam jasny obraz tego co wolno, a czego nie w polskiej rodzinie. Stosunki pozamałżeńskie są akceptowane u ludzi młodych pod warunkiem, że prowadzą do ślubu.

Nie jest dobrze kiedy mąż zdradza żonę, lecz można na to przymknąć oko, gdyż samotne kobiety są wyzywające i tak atakują mężczyzn, że czasami biedacy nie umieją się oprzeć. Dopiero zdrada żony zagraża rodzinie.

Nic nie usprawiedliwia rozwodu. Dorosłe potomstwo dba o to, żeby rodzice dobrze się prowadzili. Kobieta ma prawo pracować, ale lepiej na pół etatu. Niezależnie od tego czy pracuje, czy też nie, to ona zajmuje się domem. Mężczyźni to duże dzieci, o które trzeba zadbać. Rozumna żona idąc do szpitala rodzić, nie zapomni zostawić w zamrażarce ugotowane, poporcjowane i opisane jedzenie, żeby jej kochanie w czasie żoninej nieobecności się nie zagłodziło.

Jeżeli chodzi o wartości poza rodzinne, to są z tym pewne kłopoty. Państwo Lubiczowie nie posiadają bowiem przyjaciół. Nie mówimy rzecz jasna o przyjaźniach męsko damskich, z zasady podejrzanych, gdyż w świecie, gdzie seks jest etapem prowadzącym do małżeństwa, nie ma niewinnych związków między kobietą a mężczyzną. Niestety, przyjaźnie między tymi samymi płciami też nie wyglądają najlepiej. Mamy przyjaciółkę, jękliwą zrzędę, którą się ledwie znosi, jak również przyjaciela romansującego na prawo i lewo, więc tak niegodnego zaufania, żeby nie wspomnieć o zdradliwej Marcie, która – jak pamiętamy – donosiła niezrównoważonemu psychoterapeucie na Beatę. Również i trzynastoletnia Ola utrzymuje nader osobliwe relacje z rówieśnikami. Albo dominuje nad koleżankami z zastępu harcerskiego, pogardzając nimi, albo daje się zdominować rozwydrzonej Angelice, która musi być rozwydrzona, ponieważ jej rodzice długo przebywali za granicą. Dlaczego ci nieliczni osobnicy z trudnością zasługujący na miano przyjaciół są tacy niewydarzeni? To proste. Człowiek może znaleźć oparcie tylko w rodzinie. Ten, kto nie należy do rodziny, to obcy – śmieszny, żałosny, czasami groźny – a tak naprawdę, zbyteczny. Moja mama twierdzi, że Klan ma właściwości wychowawcze, gdyż uczy ludzi, jak radzić sobie z chorobą. Nie myli się (czy mama może się mylić?). Chorób w Klanie jest mnogość, choć tylko jedna do tej pory doprowadziła do tragicznego zejścia z tego świata. Policzmy. Nestor rodu ma Alzhaimera. Jeden z jego wnuków jest sparaliżowany, drugi seropozytywny. Sąsiadka najmłodszego syna zmarła na białaczkę, a on sam zaadoptował dziecko z zespołem Downa.

Na dzień dzisiejszy mamy jeszcze podejrzenie raka u bliskiej rodziny ze wsi. Trochę to może więcej niż statystyczna norma przewiduje, lecz ma swoje logiczne uzasadnienie. I to nie byle jakie, bo noszące nazwę politycznej poprawności.

W latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych podjęto szereg działań mających na celu wyczulenie społeczeństwa na problemy zepchniętych na margines mniejszości: Murzynów, homoseksualistów, kobiet i zapewnienie im lepszych życiowych szans. Amerykanie wymyślili między innymi takie rozwiązanie – procentowo określoną ilość czarnoskórych przyjmowaną na studia – i podjęli żmudną prace eliminacji z potocznego języka określeń poniżających mniej uprzywilejowane grupy społeczne. Inni Amerykanie zaczęli to wyśmiewać, bo uważali za rodzaj intelektualnego terroru, i ukuli ironiczny termin "politycznej poprawności". Via Europa, polityczna poprawność dotarła i do Polski.

No cóż, Murzynów nie mamy. A jak już się jakiś zaplącze nie wiadomo czemu do naszego pięknego kraju, to potrafi sam się bronić. Na przykład może posłużyć jeden czarny z Senegalu, którego pobili na ulicy za brudny kolor skóry, a on wytoczył proces i go wygrał. Homoseksualistów właściwie też u nas nie ma. Może i gdzieś tam egzystują, ale nikt nigdy nie słyszał, żeby ktoś miał takiego w rodzinie.

A już na pewno mniej wpływają na nasze życie niż sekty, które tak się rozpanoszyły, że – jak wynika z Klanu – trzeba przeciwko nim wynajmować ochroniarzy. Kobiety w Polsce, owszem, są. I znają swoje miejsce, w domu przy dzieciach. Więc kogo możemy bronić? W imię jakiej niedowartościowanej mniejszości kruszyć kopie? Zostawiają nam tylko kaleki... o przepraszam, niepełnosprawni i przewlekle chorzy. O nich, ich prawo do społecznej akceptacji i do godnego życia nasze media biją do utraty tchu. I słusznie.

Irena Wiszniewska

JARMARK EUROPA

Lobby audiowizualne i soft - ware atakuje Polskę.
Bruksela. **Ś**wiatowe lobby producentów płyt i kaset audiowizualnych oraz programów komputerowych ostro zaatakowało w poniedziałek Polskę za tolerowanie masowego piractwa i przemytu własności intelektualnej. **N**a konferencji prasowej międzynarodowych zrzeszeń przemysłu audiowizualnego i software'owego w Brukseli Polska i Estonia zostały wymienione jako ci kandydaci do Unii Europejskiej, którzy rażąco łamią zobowiązania do ochrony własności intelektualnej. **W**edług nich, Polska nie dostosowała w pełni przepisów w tej dziedzinie, mimo że w układzie o stowarzyszeniu zobowiązała się uczynić to do 1 lutego 1999 roku. Organizatorzy pochwalili natomiast wysiłki Bułgarii. **W**ezwali Unię, aby potraktowała poszanowanie własności intelektualnej jako "jedno z kluczowych kryteriów członkostwa". Według nich, Komisja Europejska powinna zlecić badanie rynku w krajach kandydujących i stwierdzić jasno, że nie spełniają warunków przyjęcia do Unii, póki nie osiągną przyzwoitych wskaźników. **M**iędzynarodowa Federacja Przemysłu Fonograficznego (IFPI) ocenia odsetek pirackich płyt i kaset sprzedawanych w Polsce na 40 procent, wobec 2-3 procent w Niemczech, we Francji i Wielkiej Brytanii oraz 20-25 procent we Włoszech i w Grecji. W Czechach odsetek ten sięga 10 procent, na Węgrzech 27, a w Estonii 85 procent. **W** Polsce firmy fonograficzne tracą z tego tytułu około 20 mln dolarów rocznie. Straty w całej Europie wyceniono na ponad 2 mld rocznie. **S**tefan Krawczyk z IFPI podkreślił, że piractwo uderza równie mocno w polskich artystów, co w zagranicznych – na każdą legalną płytę Urszuli przypadają trzy pirackie, podobnie jak w wypadku Whitney Houston. **N**a konferencji prasowej pokazano piracką kopię płyty polskiego rapera Norbiego, wydanej przez Pomaton EMI. Tłumaczono, że została skopiowana na "czystą" płytę kompaktową, ze spodem w charakterystycznym zielonkawym kolorze. "**P**o przejściowej poprawie, od dwóch lat sytuacja w Polsce gwałtownie się pogorszyła. Władze wydają się zwlekać z dostosowaniem prawa, a

To już 3 lata jak handluje nad Wisłą. Wcześniej jeździł do Polski tylko czasami, po ciuchy. Potem, coraz ciężej było w Armenii, aż kiedyś został. I matkę, i ojca ściągnął. Teraz w Warszawie mają rodzinny interes. Najbardziej pomaga mu matka. Pakuje płyty, donosi, układa. – Taki los! Nada kuszat! – tłumaczy całkiem jeszcze młoda kobieta.
- Ten interes to najlepiej u nas, u Ormian chodzi. To nie jest taki zwykły biznes, tylko cenę podasz i już. – tłumaczy 25 letni Karen - bo, żeby płytę sprzedać, trzeba głowy trochę mieć, na muzyce się znać. – Ja to znam wszystkie tytuły. A muzyki słuchałem jeszcze w Armenii. Ja nie chciałbym mieszkać gdzie indziej. Tylko w Polsce. U nas ciężko i bieda, a tu można zarobić – mówi.
Gdy namiot ze straganem rozkładają, Warszawa śpi jeszcze dobrych parę godzin. Ale za to o drugiej po południu – fajrant! Bywa, że inni potem na Marszałkowską, albo w Aleje idą i na ulicy sprzedają.
Niełatwo tam dotrzeć. Ludzie popychają z każdej strony, a i miejsce nie jest od razu na widoku. Trzeba pokonać tłum, pstrokate stragany z najróżniejszym badziewiem, naoglądać się złotych zębów... Budy przyciągają lepiej i gorzej ubranych, tych z Warszawy i spoza. Raz po raz ogon za tanim jedzeniem, które dymi pośród wiszących na lewo i prawo kiecek i moherowych swetrów, stoisk z zegarkami, i z czym jeszcze - nie sposób powiedzieć. Wreszcie, na lewo – wyjście, schodami w górę. Tam, inny rewir: elektronika, sprzęt domowego użytku, broń nawet, no i programy, płyty, kasety – prawie wszystkie bez hologramów.
Szczyt "Europy" czyli korona "Stadionu Dziesięciolecia", jak mówią Warszawiacy.
- Po ile ta płyta? – pytam śniadego chłopaka z rozczochranymi włosami. Bułgar może, albo Turek. Nie, Ormianin. Na początku nie słyszy, rozmawia przez komórkę w trudnym do odgadnięcia języku. – 10 złotych, wszystkie po tyle samo. – Dużo pan tego dziennie sprzedaje? – A pani z radia czy z gazety? – Z gazety. – Niedobrze... – kręci głową. Na początku, niechętnie rozmawia, choć nieźle mówi po polsku. Nie ma zaufania. Matka też mówi, żeby nie zawracać głowy. Czy się nie boi handlować pirackim towarem? A co się ma bać?! – Ryzyko!

zwłaszcza praktyki. Może chodzi o to, aby na zwłoce skorzystali polscy producenci pirackich kaset" – powiedział Krawczyk. **W**brew światowym zwyczajom, polskie przepisy nie chronią nagrań sprzed więcej niż 25 lat (na świecie 50 lat). Według Krawczyka, w 11 polskich wytwórniach płyt kompaktowych wzrastają ostatnio moce produkcyjne, wykorzystywane często do produkcji eksportowej. Wiele pirackich kaset jest bez trudu przemycanych z Białorusi, a płyt – z Czech i Ukrainy. **W** przeddzień wtorkowych przesłuchań w sprawie piractwa audiowizualnego i software'owego, organizowanych przez Komisję Europejską we współpracy z przemysłem, przedstawiciele lobby przyznali, że zakres tego zjawiska jest zbyt duży również w samej Unii. **D**latego domagają się koordynacji walki z tym zjawiskiem na szczeblu ogólnounijmym, zaostrzenia kar i podniesienia wysokości odszkodowań oraz licencjonowania i ściślejszego nadzorowania produkcji płyt kompaktowych. **P**rzedstawiciele przemysłu fonograficznego podkreślali tylko, że ceny płyt i kaset muszą uwzględniać tantiemy, koszty lansowania rodzimych artystów itp. Krawczyk radził Polakom, aby kupowali kasety, skoro płyty kompaktowe są dla nich zbyt drogie. **Ponad 20 tys. pirackich kaset i płyt CD ujawniono w Poznaniu.** Poznań. Poznańska policja wykryła ponad 20 tys. pirackich kaset magnetofonowych i płyt CD o wartości 200 tys. zł. oraz sprzęt do ich kopiowania. Cztery osoby podejrzane o udział w procederze objęto dozorem policji. **W**obec każdej z nich dodatkowo zastosowano kaucję w wysokości po 5 tys. zł. **J**ak ustaliła policja, nielegalna produkcja kopii odbywała się w półprofesjonalnym studio w prywatnej willi w jednej z podpoznańskich miejscowości. Zgromadzony tam sprzęt – trzy kopiarki – pozwalał na skopiowanie 15 tysięcy kaset na dobę. Fałszerze kopiowali przede wszystkim muzykę dyskotekową oraz ścieżkę dźwiękową z filmu "Ogniem i mieczem". **O**prócz studia, w jednym z garaży w centrum Poznania odkryto hurtownię pirackich kopii. Stąd kasety i płyty CD trafiały do bazarowych sprzedawców. Poza gotowymi produktami znaleziono też hologramy, które miały pozorować legalność kopii. **P**odejrzani w wieku 20-40 lat przyznali się do stawianych im zarzutów. Grozi im kara od pół roku do 5 lat Karena już dwa razy przyłapali i w sądzie będzie miał dwie sprawy. Jedna, właściwie, już 3 lata się ciągnie. – To dobrze, bo dokumentów nie mam i teraz tak łatwo to z Polski nie wypędzą. – Pani, ty zamiast człowieka szczuć, to napisz czemu te płyty takie drogie! Czemu jemu się opłaca za byle grosz, a w sklepie, psia kość, drogie jak cholera? 70 złotych za płytę chcą, a potem się dziwią, że człowiek na jarmark woli pójść! – wykrzykuje mi do ucha jakiś czterdziestolatek. – Pewnie, że się opłaca – przytakuje Karen – pod warunkiem, że policja długo nie złapie.

Ale jak złapie, to Karen musi najpierw płacić długi, a potem zaczyna od nowa, na minusie. – Teraz, jak mnie policjant tutaj złapie, to nic mi nie zrobi. Ja znam tutaj prawo i wiem co mi grozi. Najgorsi są ci ze stołecznej, tych nie przekupisz. Ale wiem jak robić, żeby mi nic udowodnić nie mogli. Wystarczy powiedzieć, że to nie moje, że tylko czekam na kolegę. No i pilnować, żeby na gorącym uczynku nie przyuważyli... Jak płyt 100 albo 200 znajdą, towar najwyżej zabiorą i pieniądze straci, ale wolno puszczą. Jak więcej, a bywało na jarmarku, że 2,5 tysiąca albo i dwa razy tyle – sprawę wytoczą... jeśli udowodnią winę. – Co zrobić? – wzdycha Karen – Jak zarobić to tylko na płytach! Ma umówionego człowieka, który co i raz mu je w komis przywozi. Chłopak pieniądze oddaje dopiero jak płyty sprzeda. Dziennie schodzi 100-200 sztuk, nie tak jak trzy lata temu. Wtedy sprzedawał nawet i po trzysta na dzień. – Nie byłem gdzie indziej – mówi – ale wiem, że w Polsce najlepiej idzie. Dużo u was melomanów! – śmieje się. – Duży rynek. Tyle nie sprzedasz ani w Czechach, ani gdzie indziej. Zarobek na jednej płycie ma nieduży. Za płytę musi zapłacić, jak twierdzi, 8,5-9 złotych. I co mu zostaje?... Nie ma wyjścia, musi sprzedawać dużo! Najlepiej schodzą, rzecz jasna nowości. Teraz, na przykład, na Kayę i Bregovica wszyscy czekają!

- Nawet gdyby policja codziennie łapała, to nic nie zdziała, bo fabryka na Białorusi, Ukrainie, w Bułgarii czy w Niemczech robi cały czas miliony sztuk. Jeden biedak zbankrutuje, przyjdzie następny. I tak bez końca. To niemożliwe, żeby zamknąć ten interes! Policja nie jest głupia i sama o tym dobrze wie. Jak mówi podkomendant Janas, rzecznik prasowy Komendy Stołecznej Policji, przecięcie wszystkich szlaków przemytu jest po prostu nierealne. Dlatego policja

pozbawienia wolności. **P**onieważ piractwo oznacza naruszanie praw autorskich, w prowadzonym przez policję dochodzeniu uczestniczy przedstawiciel ZAiKS-u. **J**ak poinformował podczas poniedziałkowej konferencji prasowej naczelnik Wydziału ds. Przestępczości Zorganizowanej poznańskiej policji Krzysztof Sobczak, na ślad grupy policja natrafiła w związku z nformacjami o pojawieniu się na rynku "płyt i kaset noszących cechy nielegalności". Warszawa. **Stołeczna policja skonfiskowała. około 7,5 tysiąca pirackich płyt kompaktowych.** Znaleźli je policjanci i funkcjonariusze urzędu celnego we wtorek wczesnym rankiem na warszawskim Stadionie 10-lecia. **P**olicjanci z wydziałów wywiadowczego i ds. przestępczości zorganizowanej oraz celnicy przybyli na stadion we wtorek ok. 4 nad ranem. **"O** tej godzinie nie ma jeszcze handlarzy. Prawdopodobnie policjanci mieli konkretne namiary na stadionowy magazyn pirackich płyt" – powiedział w środę Daniel Głowacz z biura prasowego Komendy Stołecznej Policji. **Z**a złamanie praw autorskich grozi nawet 5 lat więzienia, ale we wtorek na stadionie policja nie zatrzymała żadnego sprzedawcy "pirackich" kompaktów. "Nikogo nie było na miejscu, gdzie płyty były składowane" – powiedział Głowacz. **O**statnią dużą akcję tego typu na Stadionie 10–lecia policja zorganizowała 3 lutego. Skonfiskowano wtedy 20 tysięcy "pirackich" płyt kompaktowych z muzyką polską, zagraniczną i programami komputerowymi. Zatrzymano wówczas dwie osoby: Polaka i, jak to określiła policja, obywatela "kraju zza wschodniej granicy". **13,5 tys. "pirackich" płyt kompaktowych skonfiskowali policjanci.** Warszawa. Ponad 13,5 tys. płyt kompaktowych wartych 320 tys. skonfiskowali policjanci i celnicy na Stadionie 10-lecia w Warszawie – poinformował w czwartek Dariusz Janas, rzecznik stołecznej policji. **P**olicjanci i celnicy weszli na stadion w czwartek nad ranem. Oprócz płyt – wśród których znajduje się ponad 1500 "krążków" z programami i grami komputerowymi – skonfiskowali także warte 30 tys. zł. przemycone ubrania m.in. spodnie, bluzy i skarpety. **A**ni policji, ani celnikom nie udało się zatrzymać żadnego z przestępców sprzedających przemycany towar. **"T**o dlatego, że handlarze w postanowiła być uciążliwa przede wszystkim dla samych handlarzy. Płyty, po przemycie do Polski najczęściej z Białorusi i Ukrainy, sortuje się w mieszkaniu, pakuje w obwoluty. Potem dystrybutor rozdziela je wśród handlarzy.
Ci, sprzedają je na bazarze, najczęściej seriami po kilkadziesiąt sztuk. Do tej pory schwytani próbowali się wykręcać, że to tylko raz, i niewielka ilość... – Ale teraz już wiemy, że tych 20-30 handlujących, ma nad sobą opiekuna, który przyjeżdża autobusem, zbiera cały towar, a rano znowu rozwozi – mówi podkomendant. – Jak temu drobnemu handlarzowi płyty zabierzemy, to ten potem często nie może się już wypłacić. Musi z Polski uciekać, nie przed policją, tylko przed swoi dystrybutorem! – żartuje.
Według policji, tak czy inaczej, skutek jest z czasem osiągnięty, bo handlarz znika ze stadionu. Tylko w ubiegłym roku Policja Stołeczna przechwyciła 100 tys. pirackich płyt. Wynik jednej policyjnej akcji na stadionie to 5 – 25 tys. wycofanych z rynku "piratów". – To bardzo dużo, pełna ciężarówka. Płyty układamy na takie kije, jak od szczotki, po 50 sztuk, a potem do specjalnych toreb, gdzie wchodzi 2 do 3 tys. krążków. Potem przewozimy je do magazynów Urzędu Celnego. – mówi Janas. – Jeśli nie można ukręcić łba hydrze, to trzeba chociaż próbować ugryźć ją w ogon. Na pewno ją zaboli.

Roma Tomaniuk

momencie, kiedy widzą policjanta albo celnika, po prostu odchodzą kilka metrów w bok. Potem już nie można im udowodnić, że przemycone rzeczy należały do nich" – powiedział Tomasz Papaj, rzecznik warszawskiego Urzędu Celnego. Stołeczna Policja od początku tego roku skonfiskowała już ponad 105 tys. płyt CD z muzyką oraz ok. 10 tys. CD-ROM-ów z programami komputerowymi. Kora sugeruje, że zyski z piractwa mogą czerpać obecnie rządzący. Warszawa. Kora, popularna piosenkarka, na konferencji promującej najnowszy numer "Playboya" zaatakowała rząd Buzka, za to, że jej zdaniem, nie zwalcza fonograficznego piractwa. **Kora zasugerowała, że zyski z piractwa fonograficznego mogą czerpać obecnie rządzący.** Warszawa. Kora, popularna piosenkarka, na konferencji promującej najnowszy numer "Playboya" zaatakowała rząd Buzka, za to, że jej zdaniem nie zwalcza fonograficznego piractwa. **K**ora zasugerowała, że zyski z piractwa fonograficznego mogą zcerpać obecnie rządzący. Obecny rząd Kora nazwała "najbardziej skorumpowanym". **A**rtystka wzięła we wtorek udział w konferencji reklamującej najnowszy numer "Playboya". W kwietniowym numerze pisma opublikowano jej roznegliżowane zdjęcia. **K**ora wyjaśniła, że do wściekłości doprowadza ją to, że przez dwa lata rząd Jerzego Buzka nie odniósł się w żaden sposób do problemu piractwa fonograficznego. "Dlaczego mam tracić na tym, co jest niezbywalnym moim prawem, moją własnością, a wszyscy to za przeproszeniem olewają" – pytała piosenkarka. **W**edług szacunków, muzyczni piraci opanowali prawie 35 procent polskiego rynku płytowego. Ocenia się, że w sumie piraci okradają wydawców płyt prawie na około 200 mln zł. rocznie. **Policjanci rozbili grupę mongolskich piratów.** Szczecin. 25 osób narodowości mongolskiej zatrzymali szczecińscy policjanci podczas kontroli na miejskiej giełdzie samochodowej. Zatrzymani zmonopolizowali lokalny rynek handlu nielegalnymi programami komputerowymi i pirackimi płytami. **B**yć może zatrzymanych będzie więcej, ponieważ policja kontroluje także miejsca zamieszkania zatrzymanych – poinformował w niedzielę rzecznik zachodniopomorskiej policji Krzysztof Targoński. **P**rzy Mongołach znaleziono około dwóch tysięcy różnego rodzaju płyt CD z

muzyką rozrywkową oraz CD-ROM-ów z pirackim programami komputerowymi. Ich wartość zostanie oszacowana po zakończeniu działań policyjnych. **A**kcję przeprowadzono przy współpracy z funkcjonariuszami Pomorskiego Oddziału Straży Granicznej, przedstawicieli Związku Producentów Audio-Video i inspektorów Urzędu Pracy. **Z**atrzymani cudzoziemcy w większości nie mieli przy sobie paszportów lub innych dokumentów tożsamości. W rozmowach z Mongołami pomagają tłumacze języka mongolskiego. **C**udzoziemcom grozi deportacja z Polski, a za nielegalny handel płytami także odpowiedzialność karna do 3 lat pozbawienia wolności. **J**ak podkreślił Targoński, Mongołowie zmonopolizowali w Szczecinie rynek handlu pirackimi płytami. Tworzyli dobrze zorganizowaną i zhierarchizowaną grupę przestępczą, która działała na lokalnych targowiskach i giełdzie samochodowej. Płyty i programy, którymi handlowali, były cztery razy tańsze niż te z hologramem.

Krótkie piłki, mądre słowa

Krótkie piłki, mądre słowa
A słowa - niekoniecznie krótkie. Bo to wywiad - rzeka.

Dom rodzinny Falandyszów na Mokotowie. Za oknem śpiewają ptaki. Takie miejsce w samym centrum, gdzie jest w miarę dobrze.

IW- Pytać?

LF- Proszę.

IW- Jakie by pan sobie zadał pytanie, na które chciałby pan odpowiedzieć, gdyby ktoś miał zrobić z panem taki wywiad, żeby panu sprawić przyjemność?

LF- Ha, to chyba jakieś za skomplikowane pytanie.

IW- Skomplikowane?

LF- No, ja nie wiem, czy ja mam jakieś takie pokłady czegoś dobrego, co chciałbym pokazać ludziom. Pewnie nie ma czegoś takiego. Tak się zastanawiam, że to byłby wywiad pewno o tym, kim człowiek jest.

IW- Właśnie to chcę wiedzieć.

LF- Gdy ktoś pyta siebie samego kim jest, to niełatwo przychodzi odpowiedź. To skomplikowane, bo człowiek zna własne słabości. I właśnie ja często boleję nad tym, że jestem za słaby. Zazdroszczę ludziom silnym, otwartym, zdecydowanym. I tu jest pewien kłopot - widzę, że pewnie nie bardzo się już mogę zmienić. Ale, ostatecznie, tych rzeczy przykrych, czy smutnych, czy wbijających człowieka w zły nastrój może nie jest tak wiele. Zawsze się przyjemnie patrzy na tę drugą, jasną stronę życia, która polega na kolekcjonowaniu jakichś tam udanych rzeczy, sukcesików, sukcesów. I, na szczęście, widzę, że być może tych udanych jest więcej - i to mnie w sumie jakoś uspokaja. A więc - takiego jednego pytania nie ma - poza może właśnie tym: kim jest człowiek.? Mam tu kłopot. Kim jestem? Co mam powiedzieć? Profesor, doktor, minister, rektor, dyrektor? Ale to wszystko są role...

IW- No właśnie. A tych ról jest bardzo dużo. Wręcz onieśmielająco dużo, i ważnych. A jednak jest pan postacią bardzo lubianą. Showmanem może nawet...

LF- Trefnisiem - chciała pani powiedzieć?

IW- Ha, ha, ha... Zwał to jak zwał, ale lubi pan pokazywać się w programach, jakby je tu określić, komercyjnych... Na przykład ostatnio - ja tego nie oglądałam, tylko ktoś mi mówił - pokazał się pan z Trubadurami.

LF- To nie są komercyjne rzeczy. Komercja tam nie ma żadnego znaczenia.

IW- Uhm.

LF- Owszem, był taki program, za który dostawałem jakieś pieniądze, Egzamin Dojrzałości on się nazywał, w którym ja takie matury z różnymi znanymi ludźmi prowadziłem...

IW- Popularny ogromnie...

LF- No, w miarę. Ale i tam nie o pieniądze szło - bo one były nikłe - tylko o chęć powygłupiania się trochę. Jakoś nie uważam się za człowieka poważnego i lubię - jak jest okazja - żeby sobie troszkę pożartować. Uważam, że nasza możność wywołania uśmiechu u ludzi, czy jakiegoś ciepłego uczucia, to jest o wiele ważniejsza rzecz niż wszystkie dokonania polityczne, państwowe, czy naukowe. Tu jest człowiek pożyteczniejszy. A Trubadurów to nawiedziłem na prośbę. Bo oni sobie mnie upatrzyli, właśnie z tej telewizyjnej matury, którą kiedyś miałem z nimi. Oni uznali mnie za człowieka w miarę miłego i poprosili mnie, czy bym, z okazji jakiegoś jubileuszu, nie wystąpił z nimi. Powiedziałem: "Proszę bardzo, no ale ja przecież nie jestem piosenkarzem zawodowym".

A w ogóle, to ja się łapię na tym, że jestem koszmarnie zabiegany, wykonuję właściwie pięć zawodów - nauczyciel akademicki w dwóch wymiarach; na UW wiele lat i, dodatkowo, w Wyższej Szkole Handlu i Prawa - nawet jako prorektor. Wymiar tego, co niby umiem, bo od zawsze to robię - czyli od '60-go roku. Kancelaria adwokacka, na którą nie mam czasu...

Jak tu prowadzić kancelarię, skoro nie ma czasu, a tu jeszcze - komentarz polityczny w mediach, taki ciągły - którego symbolem jest Śniadanie Radia Zet dość słuchane w Warszawie, i stały felieton we "Wprost", no i jeszcze, czasami, wygłupy w telewizji. Ostatnio żona mnie wygoniła z tego programu Egzamin Dojrzałości. Powiedziała: "Dziadu stary, co się będziesz wygłupiał" - na co ja przystałem, bo już będąc belfrem zawodowym, ile się można bawić jeszcze w nauczyciela w telewizji. Zresztą - to jest teraz niedobry program, bo już się formuła wyczerpała. Więc zrezygnowałem i tylko komentarze miewam czasem u Krzysztofa Daukszewicza w takim jego programie nowym. Takie tam różne głupstwa gadam. Krótki wykład składający się z głupot. Dla żartu. Telewizja na mnie nie zarabia. Ja to robię z potrzeby pewnego dystansu, bo lepiej się żyje jak człowiek ma do życia dystans.

IW- Z tym, że właściwie się nie zrozumieliśmy na samym początku, bo ja "komercyjne" nie rozumiałem, jako "przynoszące korzyści materialne", tylko "takie, które ogląda cały świat".

LF- Chciała pani powiedzieć - rozrywkowe raczej.

IW- W tym momencie rozrywka jest związana z komercją, bo telewizja właśnie na tym, że oglądają miliony zarabia.

LF- Czy ja wiem - czy ona tak na mnie zarabia. Nie zarobi na mnie telewizja. Wróćmy do dystansu... Widzę, że takiego totalnego dystansu mieć się nie da, bo wtedy w ogóle trzeba by nie mieć sumienia. Człowiek się przejmuje różnymi rzeczami zawodowymi - to bardzo jest szkodliwe i niszczące i chce uciec czasami w rozrywkę. Jeśli jest oferta publiczna, to tym lepiej - inni się jeszcze mogą pouśmiechać. Nie wiem, moje produkcje są udane czy nieudane, ale jakoś tam są akceptowane przez ludzi. Ale żeby żyć - trzeba się też wziąć za coś konkretnego. Prawnicy tak zarabiają duże pieniądze - biorą się za konkretne rzeczy.

IW- Wąska specjalizacja...

LF- Tak. W czymś się specjalizują. Im większa specjalizacja, tym większe pieniądze. A u mnie to jest cały czas takie zbieractwo i łowiectwo.

IW- Czytam stale pana felietony we "Wprost"- te "Jakim prawem" - ponieważ one się różnią bardzo od innych felietonów. Tym, że są szalenie prostym, bezpośrednim i ludzkim językiem napisane.

LF- To wielki komplement dla człowieka, który posługuje się żargonem prawniczym. Faktem jest, że ja - przez chyba dziesięć lat - uczyłem się, jak wrócić do normalnego języka. Bo najpierw nauczyłem się prawniczego żargonu, który jest dosyć trudny, ale on ułatwia porozumienie między prawnikami - wszyscy wiedzą o co chodzi i sprawy idą szybko. On jest bardzo precyzyjny, ten żargon. Natomiast - powrót do języka potocznego odbywa się kosztem precyzji, ale ja napisałem w życiu parę setek felietonów, i wreszcie się nauczyłem.

IW- Uhm...

LF- To znaczy - opanowałem sztukę, żeby tak przełożyć różne, dość zawikłane czasem, formułki na język ludzki, zrozumiały - żeby nie utracić zbyt wiele precyzji. Bo coś tam zawsze utracić muszę. Więc to jest duży komplement. Już, z innych źródeł, dotarło do mnie, że mówię zrozumiale. Czyli z tego wynika, że jedyną osobą, która nie rozumie tego co mówię, jest moja żona. No i vice versa. Ja jej w ogóle nie rozumiem.

IW- Może właśnie to jest pociągające. Przepraszam, ale myślę wciąż o felietonach, że oprócz jakiegoś nadrzędnego tematu, który tam występuje - bardzo dużo sprzedaje pan siebie. Sądzę, że czytelnik, który wnikliwie te felietony czyta, w jakiś sposób pana zna. Zna, na przykład, to zabieganie, o którym pan mówił, te wszystkie role, które pan pełni i których jest bardzo dużo. W związku z tą mnogością, chciałabym zapytać o - ODPOWIEDZIALNOŚĆ.

LF- Nie jest to moja specjalność, od razu powiem.

IW- Ale odpowiedzialności zawodowej, ma pan chyba w nadmiarze. Bo pisał pan, nawet niedawno, w którymś numerze "Wprost", jaki jest pan zabiegany, i że względu na tę odpowiedzialność wobec studentów podejmuje pan coraz więcej i więcej tych zobowiązań na siebie.

LF- No właśnie. I tu jest pytanie - czy to jest odpowiedzialność, czy to jest lekkomyślność. Czy to jest umotywowane szlachetnie, czy też z próżności robione. To znaczy - akurat mój stosunek do studentów jest taki, że oni nie powinni narzekać, i chyba nigdy nie narzekali, bo ja ich zawsze traktowałem jak młodszych kolegów po prostu. To było zupełnie niezależne od tej dzisiejszej mody, na jakieś tam partnerstwo. Tak zawsze starałem się ich traktować - czyli, inaczej mówiąc, zupełnie nie wykorzystywałem swojej władzy jako wykładowcy, czy prowadzącego ćwiczenia. Niektórzy ludzie wykorzystują tę władzę, wręcz nawet jej nadużywają. Na przykład mają przyjemność w oblewaniu, w stawianiu dwójek, w udowadnianiu, że studenci są durniami, głupkami. To nie jest żadna sztuka. Profesor może.

IW- Pan nie stawia dwójek, wiadomo.

LF- No, student musi zdać egzamin. Zresztą on jest tym, który decyduje.

IW- To znaczy, że to nie stawianie dwójek jest jakimś wyzwaniem, tak? Ma zobowiązywać do czegoś drugą stronę.

LF- Tak. Dokładnie tak to jest. Ja liczę na to i - nie zawodzę się na tym - że ludzie młodzi myślą sobie tak: Jak ten facet nas przyzwoicie traktuje, no to nie można przed nim się zblamować, czy zrobić mu zawodu - żeby się przekonał, że te jego łagodne metody nie doprowadzają do kompletnej niewiedzy czyli właściwie nie spełniają swojej roli. Myślę, że większość zdecydowana studentów tak rozumuje. W pewnym momencie to jest chyba nawet taki punkt honoru- żeby dobrze wypaść przed tym właśnie, który jest łagodny. Bo dostać dwóję od jakiegoś znanego z surowości człowieka to żadna sztuka, prawda?

IW- Uhm.

LF- Czy wreszcie może - do niektórych ludzie idą na zasadzie: "Bylebym tylko zdał, natomiast ja wręcz nie chcę pokazać mu, jaki jestem dobry - ja chcę po prostu, zwyczajnie wyrwać się z tego kręgu durniów, bo on nas tutaj przecież uważa za durniów, czyli chodzi o to żebym ja w rezultacie wyszedł na sprytniejszego. A może przed tym, który jest łagodny warto się czymś popisać, pokazać, że potrafię, że jestem dobry.”

IW- A może jest w panu coś takiego jak chęć nie tyle nauczenia, co pokazania kierunku?

LF- Wie pani, nadać kierunek... gdyby wszyscy przyjęli taką postawę we wszystkich układach, taką bardzo liberalną - to nie jest dobre. W sumie jakaś władza gdzieś musi być. No, jakby w policji powiedzieli: A... róbta co chceta.. Idźta na obchód, nie idźta. Jedźta, nie jedźta. Czy w wojsku by powiedzieli: Może szeregowi łaskawie wstaną, bo jest siódma piętnaście. Bardzo prosimy. Prawda? No więc są formacje, gdzie musi być polecenie.

IW- Tak, tylko, że nie mówimy o wszystkich, ale w tym momencie o panu...

LF- No, Uniwerek to jest dobre miejsce, gdzie można się nie posługiwać przymusem. Właśnie Uniwerek. Szkoła dla dorosłych. Bo nie - szkoła z dzieciakami, jak się dzieciakom odpuści to właśnie będą stawały na głowie. Natomiast szkoła, w której są dorośli, może być na zasadach takich właśnie partnerskich. Tak mi się wydaje. Czyli wyjątkowo w tym miejscu. Chociaż, szczerze mówiąc, mam i inne doświadczenie pozytywne, a nawet dwa. Nie pracowałem w administracji za wiele, ale kiedyś byłem dyrektorem Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości - takim w Ministerstwie Sprawiedliwości - i miałem za zadanie, ponieważ były dwa instytuty - jeden zlikwidować, a właściwie - z dwóch zrobić jeden. Czyli musiałem ludzi zwalniać. I zauważyłem, że na skutek różnych rozmów, które z tymi ludźmi toczyłem, gadałem, tłumaczyłem się, kajałem - to w ogóle bezszmerowo przeszły te zwolnienia, nikt nie miał do mnie pretensji - przynajmniej nic takiego do mnie nie dotarło - czyli trudną sprawę można załatwić pokojowymi metodami. I później, jak byłem w Kancelarii Prezydenta, to ta moja kancelaria, to moje biuro, też niby chodziło jak chciało. To znaczy - władza była w rękach pań sekretarek, które właściwie mogły robić co chciały i, aż dziw, ale to wszystko znakomicie szło. Nikt nikomu nic nie kazał, samo z siebie szło. Czyli można liczyć na ludzką odpowiedzialność, ale są pewne granice.

IW- Ale pan lubi ludzi, liczy na ich odpowiedzialność.

LF- Wolę tak, niż wydawać rozkazy. No, w jakichś dramatycznych sytuacjach - oczywiście, ale wolę nie. Krótko mówiąc - jestem facetem, który nie chce mieć władzy nad innymi.

IW- Ale pisał pan o niepokojącej dla pana samego - oczywiście przekornie nazwał pan to chorobą - o rzeczy takiej, że wszystko się panu zaczyna podobać i że dane jest panu - ja to tak nazywam - spostrzeganie rzeczywistości przez koniunkcję, gdzie wszystko jest: i, i , i, a nie ma wyboru: lub, lub. Czyli - niealternatywne.

LF- No, to jest pewnie rodzaj pójścia trochę na łatwiznę życiową. Ja jestem człowiekiem, który instynktownie, a może racjonalnie unika sytuacji stresujących, konfliktowych. Żona, jak jest wobec mnie szczera, to mówi : Jesteś zwykła glizda. Przez "Z". Czyli taki, który się wije i próbuje uniknąć konfliktów.

W związku z tym, wie pani... podoba mi się coraz więcej rzeczy... wolę, żeby mi się podobały niż nie podobały. To przyjemniejsze uczucie po prostu. Czyli jakby staram się znaleźć dla wszystkiego jakieś usprawiedliwienie, jakieś wyjaśnienie...

IW- Jakieś zrozumienie też?

LF- Coś w rodzaju... takiej empatii jakiejś. Niekoniecznie sympatii, ale empatii, czyli wczucia się w tego drugiego człowieka i próba zrozumienia go, co oczywiście łagodzi odpowiedzialność, bo już nie mogę go surowo osądzać. Więc staram się nie osądzać, bo też nie jestem sędzią w końcu. Są ludzie, którzy są sędziami - niech osądzają. Politycy, na przykład, bardzo lubią osądzać - mimo że nie są sędziami. Dziennikarze lubią osądzać, strasznie by chcieli sądzić, wlepiać wyroki - mimo że nie są sędziami. Tak to wygląda...

IW- Uhm. Ale...ponoć zdarza się, że ci dziennikarze dosyć wiernie oddają rzeczywistość...

LF- Kto wiernie oddaje rzeczywistość?

IW- Dziennikarze.

LF- Ła, no wie pani - może, może. Nie chcę zadzierać z najpotężniejszą władzą.

IW- Ha,Ha.

LF- A to władza na przyszłe tysiąclecie, bo w przyszłym tysiącleciu już nie będzie żadna polityka rządziła - tylko będą pieniądze rządziły i media. Pieniądze stojące za mediami. Media będą dzieliły na tych "dobrych", tych "złych", będą wydawały wyroki: Tego down, tego up... Tak będzie. Będą wybierały prezydentów.

IW- A czy teraz tak nie jest?

LF- Jeszcze nie. Jeszcze się opiera ta polityczna klasa. Jeszcze tu i ówdzie jest jakiś dyktator, czy prezydent - jednoosobowy władca. Tu i ówdzie zdarza się czasem jeszcze jakaś władza rodzicielska, zdarza się jeszcze jakaś władza nauczycielska, jeszcze parę tych zabytków z dawnej epoki funkcjonuje, ale już cieniutko.

IW- To znaczy - ani te mikroświaty, najmniejsze komórki typu: rodzina, ani te wielkie - państwa nie funkcjonują w tej chwili idealnie dlatego, że widać właśnie upadek autorytetu.

LF- Są rozstrzelane przez media. Kto kreuje autorytet dzisiaj? Wyłącznie media. Opinia publiczna - czytaj: media. Natomiast - i rodzina, i władza, mogą być rozstrzelane przez media gładko. Z kilku luf - z kilku stacji telewizyjnych pójdzie ogień, czy z kilku gazet i nie ma człowieka. Nie ma rodziny. To można robić i w skali mikro, i w skali makro. Wszystko jedno.

IW- No właśnie. A odpowiedzialność w rodzinie?

LF- Odpowiedzialność w rodzinie to pewnie jest najtrudniejsza sprawa. Ja przez wiele lat prowadziłem tryb życia trochę bałaganiarski i nieodpowiedzialny. Jakoś nie czułem w sobie takiej powagi - i to jest przykre - odpowiedzialności za swoją rodzinę, czego w pewnym sensie ofiarą jest mój najstarszy syn. On jest takim człowiekiem trochę zaniedbanym, i to jest moja wina, bo myśmy się z jego matką rozwodzili, w ogóle - jakieś cuda-niewidy...Ja byłem gówniarz, a może i ona, za młodzi byliśmy. Jak jeszcze żył mój ojciec, to się jakoś dzieciakiem opiekował. Jak ojca zabrakło, to w ogóle chłopak był bezprizorny, jak to mawiają. Natomiast teraz - mam czwórkę małych dzieci z Baśką. I dzięki Baśce wszystko się przemogło.

Ona jest trochę takim SS-manem domowym trochę. Tutaj, w domu, ma władzę taką tradycyjną, po prostu -matka tak każe. Jakieś kary daje - a to zakaz telewizji na miesiąc, a to do komórki na pięć minutek - Tam na poddaszu są takie fajne komóreczki. Na pięć minut taki wyrok. Tak, że - matki słuchają, a ojciec jest taki - pożal-się-Boże-rzecznik praw obywatelskich, rzecznik praw dziecka, którego oni olewają. Widzą, że to jest bez znaczenia, władza żadna. I w ogóle - ojca mają gdzieś.

IW- Uhm. No ale jest pan wciągnięty w domowe sprawy, nawet mówił pan o odwożeniu dzieci do przedszkola, czy do szkoły - czyli takie typowe obowiązki...

LF- Żadna łaska. Ja muszę zasuwać. Takie prymitywne rzeczy to mi żona zleca: odwieź, przywieź...

IW- Mimo wielkiego jednak obciążenia, bo w końcu i...

LF- Wie pani, trzeba mieć też dla żony względy jakieś. Przecież nie będę kobity gonił z rana żeby jechała, samochodem woziła to towarzystwo. Ja wstaję pierwszy. Szczerze mówiąc. różne mam tu czynności...Zwierząt w domu za dużo. Dzieciaki zwierzęta, owszem, lubią, ale żeby pochodzić przy nich - to nie. Mamy trzy sztuki - kota, wiewiórka autentycznego, prawdziwego, z lasu, co zajmuje duży pokój.

IW- Potrzebuje tyle przestrzeni?

LF- No bo siedział w takiej małej klateczce i po prostu zaczął marnieć - schudł, pirze mu wyliniało, a że ten dom jest cały czas jeszcze przed remontem, mamy taki duży pokój, gdzie nie ma żadnych kabli do przegryzienia, więc zostawiliśmy choinkę świąteczną i on tam sobie rządzi. Cały pokój ma zawalony jakimiś łupinami, tam sobie lata. To jest na pewno wiewiórek, który ma najlepsze w Polsce warunki mieszkaniowe. Ale gorsze pewnie od swoich leśnych kolegów, bo bidny jest w niewoli. Bidny jest kot, którego żona tępi, ale to jest chyba jakiś trochę psychiczny kot i sika gdzie chce. Nigdy się nie nauczył porządku.

IW- Też znaleziony?

LF- Prezent od koleżanki żony. Nie twierdzę, że złośliwy. I żona go odrzuca. I kot jest na sznurku przywiązany do rury, i piszczy, bo chce wyjść. Ale on, chociaż jest kotem i się sikać nie odzwyczaja, to on czuje, że mu się kara należy. Więc reasumując - ta rodzina się trzyma dzięki temu, że tu jest jakaś prawdziwa władza w postaci Basi, która wydaje polecenia, rozkazy różne i dzięki temu wszystko jakoś chodzi. Ja mam tylko jakieś pieniądze przynieść mam do domu - taki u nas jest dziwny układ. Bo to nie jest właściwie matriarchat (za matriarchatu podobno kobiety pracowały, a faceci leżeli do góry brzuchem), a patriarchat też nie, bo ja nie jestem władzą w domu, więc - jakiś taki rozsądny podział, że ona jest ta kurrara domowa (jak sama o sobie mówi), która siedzi, jako ta władza, w domu. A facet - jedzie, coś przywiezie, trochę tych pieniędzy, nie za wiele. I tak może być.

IW- Czyli- nawiązując do pana książek, których nie znam i chyba nie rozumiem, bo nie jestem prawnikiem - wszystko kojarzy mi się z tytułem: "Ja i moje prawo", tyle że tym razem domowe.

LF- No, ja nie mam w domu za wielkich praw, ale się specjalnie nie skarżę. Swoje jakoś wyegzekwować mogę, jak chcę iść na tenisa, to idę. Tu i ówdzie się mogę wyrwać, ale, szczerze mówiąc, i tak czasu na żadną rozrywkę nie mam. W sumie - obydwoje jesteśmy tak zmęczeni, że nam się nawet nie chce chodzić na różne wieczory, nie korzystamy prawie z zaproszeń, choć mamy ich wiele.

IW- Mówi pan, że lubi być gdzieś pod miastem z żoną, z dziećmi. Tylko, że wtedy prawdopodobnie też nie dolce far niente, tylko pisze pan książki.

LF- Nie, nie. Tam spędzamy wakacje. To jest tak, że nam się nigdzie nie chce w świat jechać - przynajmniej mnie. Gdzieś się tłuc samolotem - bez sensu całe te podróże. My mamy 35 kilometrów stąd, w lasku pod Radzyminem domek drewniany, i tam jest taki piękny ten lasek: jałowce, sosny, słońce, że czego nam więcej trzeba?

Sześć rodzajów ptaków śpiewa, cisza jest, bo sąsiedzi są dość daleko. Jest ekstra. I tam próbujemy dwa miesiące odpocząć, choć to trochę za blisko Warszawy. I ja niestety muszę do Warszawy dojeżdżać - a to do Radia Zet, a to, już z własnej woli, na tenisa sobie przyjeżdżam. Z lasu na tenisa do miasta wyjeżdżać fajnie jest. Ale przez ten czas kiedy, powiedzmy od końca lipca do połowy sierpnia sobie tam siedzimy, odpoczywamy autentycznie.

IW- No to - sielanka. Ale było i pod górkę, bo pisał pan (nie, to nie pan - to o panu, że kiedyś dzięki żonie pan wstał z jakiegoś zakrętu czy kryzysu. I, że dla niej, dla żony... że pan teraz ćwiczy, robi te różne rzeczy, ten tenis itp. Ale właściwie to moim zdaniem trochę perfidna forma prezentu dla kogoś, bo to jest w gruncie rzeczy taki prezent dla siebie samego, czy nie?

LF- Ja nie myślę o tym w kategoriach prezentu. My już razem jesteśmy prawie dwadzieścia lat. Znamy się taki kawał życia. Właściwie jak ja żonę poznawałem, to ona miała dziewiętnaście lat, więc właściwie całe swoje młode życie spędziła ze mną. Tak za bardzo nie narzeka, nie chce mnie rzucić, więc to znaczy, że mnie akceptuje. A wszystko jest na zasadzie takiej, czy ja wiem - po trosze rywalizacji, po trosze współpracy. Ja myślę, że ja jej zawdzięczam sporo - między innymi to, że nie chodzę nadęty, że znam swoją nikłą wartość, jestem w miarę skromny. Są faceci napompowani nieprawdopodobnie, tak obnoszący się dumnie - to nie ja, ja w parterze jestem.

IW- Ale fakt, że pan jest otwarty, bardzo otwarty - i to chyba szczerze, tak wyczuwam - do ludzi, może właśnie powodować jakieś rodzinne zawirowania, dlatego że tu z kolei wchodzi zazdrość. O osobę, która jest tak szalenie otwarta, to znaczy - która się sprzedaje w dużym stopniu, nie zachowuje dystansu.

LF- Ja myślę, że nie. Baśka kiedyś miała pretensje... kiedyś miała pytania, ale to dawno temu było - jakaś taka zabawa była radiowa i miałem odpowiedzieć na pytanie: z kim bym poszedł na kolację. I ja, jak głupi, powiedziałem, że z Naomi Campbell no i nie miałem życia przez dwa lata. Nie lubi takich rzeczy. Które mają charakter, bo ja wiem, odsłaniania intymności, może...niemiłych. Jakby ona powiedziała, na przykład, że chce iść na kolację z Antonio Banderasem, czy coś w tym stylu, to ja bym się nie przejął specjalnie, no ale widać ją to troszeczkę zakłuło, tej Naomi Campbell nie mogła mi darować. Teraz jak mnie pytają z kim poszedłem na kolację, to odpowiadam banałem, że z żoną oczywiście, i już nie można wydusić niczego innego.

IW- To też może być źle...

LF- Jest czasami taka pretensja, chyba za ujawnianie rzeczy zbyt intymnych, zbyt prywatnych. Ale Baśka sama jest też jakoś mediom znana i może sobie gadać co chce, tak, że nie ma kłopotu, że tylko ja. Jeśli by chciała prowadzić ze mną publiczny dialog w mediach, to może, ale raczej funkcjonujemy jako w miarę zgodna rodzinka. Wczoraj ze studentami o rodzinie rozmawialiśmy...był taki referat o przedwojennych wpływach w Polsce szkoły, tak zwanej, antropologicznej, o projekcie ustawy prawa eugenicznego - żeby dla czystości rasy, tych ludzi genetycznie zdewiowanych jakoś sterylizować czy uniemożliwiać rozmnażanie się... No i w dyskusji taka dziewczynka mówiła: "Szczególnie problem dotyczy takich zdegenerowanych rodzin wielodzietnych, gdzie jest pięcioro dzieci, czworo...". Ja mówię: "No to mnie pani do tych rodzin chyba też zaliczyła" - że to niby mają takie najbardziej patologiczne rodziny być. Te wielodzietne. Po pijaku pewnie dzieci robią, czy coś. I ona się potem bardzo przejęła i zapytała, czy się nie obraziłem. Ja mówię: "Co też pani do głowy

przychodzi!". I po prostu zaczęliśmy się śmiać, że ja też jestem patologiczną rodziną, bo mam za dużo dzieci jak na dzisiejsze czasy. Sto lat temu, w rodzinach szlacheckich, mieszczańskich, bogatych, a nawet chłopskich, to dziesiątka dzieci nie była problemem. A dzisiaj, i dwójka jest. I dzięki temu, przyrostu naturalnego nie ma w Polsce. Po prostu nie ma. Jest zerowy. A będzie ujemny.

IW- Ja akurat bardzo wielodzietne rodziny podziwiam, bo mam kilka osób znajomych, które pochodzą z rodzin wielodzietnych do tego stopnia, że tam jest dokładnie te przysłowiowe dziesięcioro dzieci. Uważam, że liczne rodzeństwo szalenie rozwija, motywuje, i że rzeczywiście są takie wartości, których nie można nigdzie indziej znaleźć, po prostu trudno to sobie wyobrazić ludziom, którzy nie mają takich rodzin. A czy pan jest z takiej rodziny? Nie?

LF- Nie. Mój ojciec był dziesiątym chłopskim dzieckiem, najmłodszym. Z miejscowości Tarnogród, gdzieś na Zamojszczyźnie. Natomiast - my już byliśmy dwójką; ja i siostra. Czyli takie dzieci wojenne. A Baśka, żona moja, w ogóle zawsze była jedynaczką. Ona jest jest jedynaczką. Więc było u niej takie macierzyńskie niespełnienie. I my mamy, ja mam w sumie pięć, a Baśka ma cztery sztuki. I to jest chyba fajne, bo ta nasza malutka, sześcio-siedmiolatka, która teraz kończy przedszkole, jest taka już ostrzelana, wyszczekana, mądra...niesamowicie. Właśnie przez, przez to życie, jakie ma z rodzeństwem. Oni ją wprawdzie lubią, ale walnąć, kopa dać, przydusić - to zawsze się zrobi. Ona jest niesłychanie rozgarnięta i śmiała do ludzi. A jedynaczka byłaby w ogóle jakimś dewiantem.

IW- Bo - z jednej strony takie dzieci są otoczone miłością, jako że dużo ludzi do kochania, z drugiej strony muszą się nauczyć walczyć o siebie i o przetrwanie.

LF- Tak, Baśka powiedziała, że być jedynaczką to jest jednak wielki dyskomfort i wielka przykrość. To przesadne dbanie rodziców... Teraz rodzice strasznie dbają - wożą na treningi, wysyłają za granicę do szkół. Dobrze, że dbają, ale takie dziecko trzymane pod kloszem, ciągle pod opieką nadmierną, jest zupełnie nieprzystosowane do życia. Ono będzie może wykształcone, ale zupełnie nie wie jak w elementarnych sytuacjach reagować. Nasze zresztą też są trochę odciągane takich chuligańsko-podwórkowych, tych wczesnych, czasami dosyć groźnych, znajomości, bo one są w prywatnej szkole i siedzą do piątej po południu od ósmej rano. Więc już po piątej, jak zjeżdżają, to dwa razy w tygodniu mają trening taekwondo, jeszcze jakiś dodatkowy tenis i, właściwie nie mają okazji wyjść na podwórko, nawet tu dzieciaków z okolicy nie znają. Normalnie, to wraca człowiek ze szkoły o pół do drugiej, i co? Coś musi ze sobą robić. Także i moje są odizolowane troszeczkę od towarzystwa miejscowego, ale za to jeżdżą na kolonie, różne wycieczki, matka je wypycha od małego na różne zbiorowe wyjazdy, także są socjalizowane.

IW- Z rodzinnego mikroświata chciałabym przejść w świat większy. Jakie są pana obawy? Obawy o świat, o politykę. W tej chwili źle się zaczyna dziać, z drugiej strony właściwie jest to też dla Polski etap bardzo dużego spokoju - w tym znaczeniu, że jest rozwój gospodarczy, który dominuje, a i politycznie czujemy się dosyć pewnie.

LF- Ja mam właściwie obawy dwojakie, jedne mają charakter prostszy, taki bardziej prymitywny, drugie są bardziej obawami egzystencjalnymi. Te pierwsze, proste, polegają na tym, że przynajmniej moje pokolenie pojmuje jeszcze świat w takim schemacie, że jak się jakaś wojna toczy, nawet niekoniecznie w Europie, to nam zawsze przychodzi do głowy, że Rosjanie mogą na przykład na nas najechać, co się w historii zdarzało wielokrotnie. I nie mieli problemu z przejściem Polski w ciągu dwóch tygodni. Mam taki koszmar wojny. Ja sam wojny nie widziałem, i nie brałem w niej udziału, ale tak sobie wyobrażam - tu małe dzieci, a tu taka perspektywa: jakieś bombardowanie, jakieś deportacje, czołgi...to jest horror. Czyli ja jestem tym pokoleniem, które się wojny obawia, bo to ma trochę w genach. Mój ojciec przechodził wojnę, Baśki ojciec, i nawet dość czynnie - w Powstaniu Warszawskim. Udało im się ujść z życiem i z orderami. Ale wojna to parszywa rzecz i my nie jesteśmy przygotowani. To jest jedna rzecz, której się człowiek jak się ma małe dzieci naprawdę boi. A druga obawa jest taka: koniec tysiąclecia, który objawia się tym, że są nasilone próby dekonstrukcji tego wszystkiego, co to tysiąclecie niosło. Takich tradycyjnych instytucji, jak władza - dawniej monarsza, dzisiaj prezydencka, jak władza rodzicielska, jak władza szkoły. Suwerenność państwa, na przykład, zaczyna być pod znakiem zapytania, bo ważniejsze jest przestrzeganie praw człowieka. Można złamać suwerenność w obronie uciskanych. No - gdyby taką zasadę rzeczywiście przyjąć, to właściwie suwerenność przestaje istnieć, prawda? Bo w każdym kraju są jacyś uciskani, jakieś mniejszości. Jest jeszcze dużo przykładów, których nie wymienię, ale ta kolekcja układa się w tezę, że przyszły świat 21-go wieku jest kompletnie nieprzewidywalny. I ponieważ tradycyjne instytucje władzy są niszczone, jak i wynalazki poprzedniego tysiąclecia, to widzi mi się świat pieniężno-medialny: to znaczy - pieniądz, i media, i ten Orwell, któregośmy, chyba pochopnie, kojarzyli z komunizmem, co to, okazuje się, był system zbyt słabym i nie przetrwał za długo. Więc ten Orwell jeszcze jest całkiem aktualny - z tym telewizorem, który będzie kontrolował myśli, przed którym trzeba się będzie chować. W taką stronę świat zmierza, a ja należę do pokolenia, które tego nie rozumie i nie chce rozumieć. Ja się nie włączam do Internetu, nie zajmuję się komputerem. Dzieciaki dobrze się w tym czują, ale to jednak jest różnica - czy się żyje w internetowej tudzież wirtualnej rzeczywistości, czy w prawdziwej.

IW- Podobno ze względu na doznania psychiczne jest to mało rozróżnialne.

LF- No właśnie. Widzi pani, w tym jest groźba - mianowicie ktoś może wciągnąć wielkie masy w taką rzeczywistość wirtualną i tam wydawać polecenia, tak po prostu. Innymi metodami, bez używania tych staroświeckich sztuczek typu - mordowanie, ścinanie, wyroki - jak to przez tysiąclecie czy dwa tysiąclecia było. To się zrobi bardziej niezauważalnie. I ja tego świata nie rozumiem, ja się zatrzymałem w dziedzinie wynalazków właściwie na samochodzie, i już mnie więcej nie interesuje. Ja tam od bidy umiem obsłużyć faks, ale już więcej, to nie.

IW- No tak, taka groźba istnieje, ale też jest również jakąś technologiczną, cywilizacyjną perspektywą. Natomiast jest jeszcze jedna, którą w tej chwili widzimy: groźba dużego pieniądza...

LF- To nie jest taka groźba. Wie pani, pieniądz nie jest sam przez się wrogiem. Jest tylko pytanie jak ludzie zarabiają te pieniądze...

IW- A groźba mentalności mafijnej?

LF- Dość popularny w Polsce ten etos gangsterski, bo młodzież nie ma co robić. No, bo też jaka jest oferta? Kiedyś, za komuny, były organizacje młodzieżowe, dyscyplina, jak to w totalitarnym państwie - było wszystko posegregowane, państwo prowadziło człowieka od małego, od żłobka do cmentarza. A dzisiaj nikogo to nie obchodzi, każdy jest zostawiony samemu sobie. To nic dziwnego, że dzieciakom imponują gangsterzy, którzy jeżdżą fajnymi autami, chodzą w dresach, nie przejmują się, chodzą z kijami baseballowymi, mają władzę, mają kasę, dziewczyny, bawią się we własnych lokalach.

IW- Czyli widzi pan to jako rzecz marginalną? Przy tej korupcji, która panuje nawet w europejskich władzach...

LF- Uważam, że właściwie ten świat przestępczy, taki widoczny, jest rzeczywiście marginesem. Mimo, że marginesem dość uciążliwym i dolegliwym. Wystarczy mieć obok, tu w jordanku, chuliganów różnych, którzy się drą, jeżdżą, teraz samochody sobie pokupowali, huczą, hałasują. Ale to nic groźnego. To jest margines w sumie, bo jest olbrzymia większość młodzieży, która żyje normalnie.

IW- A korupcja?

LF- Korupcja to też jest w dużym stopniu legenda. Bo korupcja zawsze była, niestety, choć ta komunistyczna korupcja miała inny charakter, to były takie drobne różne rzeczy, na ogół drobne, w celu rozmontowania tych totalitarnych niemożności. Trzeba było policjantowi dać, żeby nie płacić mandatu, załatwiać przydział lodówki, pralki, lokalu - takie przejawy zaradności w celu zdobycia normalnego życia. A dzisiaj to jest trochę tak, że jest bałagan administracyjny, jest niby wolny rynek i zachęta do zarabiania pieniędzy, urzędnicy zarabiają mało, a ustawodawca, nie wiem

dlaczego - czy umyślnie to robi czy nie - bardzo wiele decyzji uzależnia od uznania urzędniczego - koncesje różne, zezwolenia...
I - mogą wydać, mogą nie wydać. Ta ostatnia dyskusja o pozwoleniach na broń - Komenda jak będzie chciała to wyda, jak nie będzie chciała to nie wyda. No i w takich sytuacjach - jest zaproszenie do szukania sposobu, żeby obejść. Wydaje mi się, że dobrze działające prawo to takie, które daje człowiekowi jasną wiedzę, jakie są jego prawa, że po spełnieniu takich a takich warunków on, po prostu, dostanie to, bo mu się należy. A jak mu nie dadzą, to się odwoła skutecznie. Nie ma egzekucji prawa i to jest trochę taka westernowa, czy może easternowa sytuacja. Eastern od westernu tym się różni, że western jest kolorowy, to wszystko ładnie wygląda, są czerwonoskórzy. U nas nie ma czerwonoskórych.

IW- Ale tak naprawdę, to jest jedno i to samo.

LF- Jest czarno-biało. On taki biedniejszy jest - ten eastern od westernu, bo tam w westernach to się chociaż coś działo - nawet ta kawaleria wyglądała przyzwoicie. A tutaj, u nas - jakieś siermiężne wszystko. Eastern to tak wygląda jak "Ogniem i Mieczem" mniej więcej - więc rzeczywiście czy to taka różnica jest? Nie za bardzo.

IW- Ponieważ pismo, do którego tu właśnie pana przepytuję jest fonograficzne - to chciałam zapytać o pewien dosyć drażliwy temat, czyli PIRACTWO. Czy ma pan jakieś zdanie na ten temat?

LF- Myślę, że dla producentów i dla wszystkich, którzy posiadają prawa, jest to bardzo dolegliwe przestępstwo. To jest rodzaj kradzieży, czy przywłaszczenia, który w dodatku ma charakter dla prostego człowieka trudny do skojarzenia. Ludzie nie kojarzą tego z kradzieżą. Był problem, czy kradzież prądu elektrycznego to jest kradzież czy nie, bo prądu nie widać, prawda, a ukraść można tylko rzecz. I w kodeksie jest napisane, że kradzież prądu elektrycznego też jest kradzieżą. Więc z piractwem trochę jak z tym prądem jest - praw nie widać, a ktoś je sobie przywłaszcza, ktoś zarabia pieniądze kosztem innego, który właściwie powinien zarabiać. Trudna sprawa. Mnie się wydaje, że - jak wszystko - to się kiedyś znormalizuje, opanuje. Ale są trudności, bo jest tak: duży popyt na te rzeczy, prawda, a firmy nie pokrywają chyba wszystkiego, jest szereg takich luk, w które pakują się ci nielegalni wytwórcy. I to jest pewnie wszędzie na świecie problem, ale tam gdzie rynek jest normalniejszy... Trzeba nam pewnie doświadczenia troszkę. Amerykanie, Anglicy, Europa Zachodnia ma doświadczenia ze stuletnie, a u nas są niestety przerwane, bo za PRL-u nie było tego typu problemów - był monopol państwa i, szczerze mówiąc, ten monopol państwa wiele rzeczy załatwiał. Jak jest wolny rynek, to jest prawo silniejszego, więc dopóki te strony zaangażowane w rynek się jakoś nie pogodzą, nie podzielą siłami. to będzie tak jak jest.

IW- W tej chwili akurat u nas cała ta branża fonograficzna jest zdominowana przez wielkich z Zachodu, to znaczy te wielkie wytwórnie płytowe. I, rzeczywiście, one narzucają ceny tych produktów, które są zdecydowanie za wysokie dla naszych kieszeni i w tym momencie, pomijając już sytuację dotyczącą praw autorskich, bo to jest jeszcze inny temat, ale tak - i ze względu na dobór repertuaru, i ze względu na ceny - czy sądzi pan, że właściwie musimy się dostosowywać tylko ze względu na wielkość i potęgę. Czy rzeczywiście sądzi pan, że to jest właśnie ta prawidłowość, której nie można uniknąć?

LF-Można się bronić przed tym jakiś czas, ale pewnie nie za długo, bo świat zmierza w stronę globalizacji. Łączą się koncerny, skądinąd bardzo wielkie, a łączą się w jeszcze większe. Czyli - przyszłość jest taka, że na blasze samochodu napisane będą różne marki, a w środku będzie to samo. Bo będzie jeden wielki koncern. I to jest zła droga, tak samo będzie pewnie w tych nagraniach...

IW- A jak można walczyć jakoś o kulturę polską. Nie chodzi mi tu tylko o fonografię, ale w ogóle. Przy takiej wizji rozwoju świata - na ile te wartości specyficzne dla miejsca i dla jakiegoś narodu mają szansę przetrwania? A jeśli mają, to jak ich bronić?

LF- To jest trudna sprawa. Wie pani, tu już trzeba by apelować do zaradności Polaków, którzy należą akurat do narodów zaradnych. Polska zawsze, nawet przez te dwa wieki nieszczęsne ostatnie jakoś broniła i swojej kultury, i swojej niezależności, więc to się chyba uda. U nas ludzie się potrafią bronić, na wszelkie sposoby. To można porównać troszkę z sytuacją super marketów czy hiper marketów zachodnich, a polscy sklepikarze, polscy handlowcy, którzy sprzedają dobre rzeczy, czyste, fajne i sięgają do tradycji dawniejszej, cienko przędą, bo tamci im ściągają klientów. Zbyt duża jest konkurencja, ale zakazać tego nie można. Moim zdaniem - walka taka, na śmierć i życie, nie jest sensowna. Trzeba się jakoś układać. I szukać własnych argumentów. Żeby to nie było jakiegoś płaszczenia się przed potężnym, czy sprzedania się za tanie pieniądze. Trzeba się układać i jednocześnie robić swoje. Bronić się tak długo, jak tylko można.

IW- Czyli jest sens w samej walce o przetrwanie?

LF- Tak sądzę. Że z takiej walki o przetrwanie zawsze coś przetrwa, coś zostanie. Jak się nie będzie walczyło, to nic nie zostanie, przejedzie walec i koniec. A jak będzie człowiek walczył, no to tam...trochę ten walec przejedzie, ale reszta zajdzie ten walec od tyłu, będzie go chciała zatrzymać. Tak, że - tu ja bym się zbytnio nie martwił. U nas ludzie mają głowę na karku i są, myślę, o wiele zaradniejsi niż te społeczeństwa żyjące w komforcie i dobrobycie od lat. One są o wiele mniej zaradne. Ludzie wszystko mają wyłożone, nie muszą wojować. A w Polsce trzeba jeszcze wojować.

IW- Ale ta zaradność w ramach prawa jest chyba dosyć trudna?

LF- To już nie wiem. Ja tu nie mogę nakłaniać do takiej walki. Czasami bywa, że prawo jest niekompletne, czy jednostronne, jest niedostosowane. Mówię o prawie, które tyczy sytuacji ekonomicznych. I tutaj zawsze się znajdują jakieś wyjścia - prawo nie jest jednoznaczne, często pisane głupio, pospiesznie. Więc jest sporo możliwości. I uważam, że trzeba się opierać, ale nie na takiej zasadzie, że podnosić larum, że nas zaleje jakaś obca kultura, czy całkowicie obca branża. Dla mnie takim dobrym przykładem jest nasz polski przemysł piwny, który się jakoś broni. A przecież tego piwa zagranicznego ocean... Wszystkie prawie, przynajmniej większość, browary są wykupione przez zagraniczny kapitał, ale jest jakieś polskie piwo, prawda. Na przykład, w Warszawie jest Browar Warszawski, który jest spółką pracowniczą daje sobie radę. Wytrzymuje konkurencję z niemieckimi, duńskimi...Najlepiej by się może było podczepić pod tych wielkich, tak, żeby zachować swoją firmę - na zasadzie, że ja jestem polska firma, i niech to nawet będzie finansowane przez kogoś innego, byleby polska marka była. Bo wtedy jest takie publicznie złożone zobowiązanie do kultywowania pewnej tradycji, pewnych wartości. A im, tam z zagranicy nie zależy - jak widzą, że na tym można zarobić, że polska marka idzie dobrze, nawet w ościennych krajach, to taką markę będą popierali.

IW- Nie narzucając od A do Z działalności?

LF- Nie. Bo to jest dla mnie rozumowanie rynkowe. Jeżeli w Polsce i gdzieś w paru innych krajach dobrze się Wedel sprzedaje, czy w świecie jest znane piwo Żywiec - to trzeba je utrzymać. Ja uważam, że jeżeli mamy jakieś historyczne powody do dumy, to, między innymi, w dziedzinie muzyki różnego rodzaju - i trzeba tego bronić, ale w taki sposób, żeby wychodzić z takim czymś, co się będzie sprzedawało, żeby ludzie kupowali, bo też ludzie byle czego nie kupią. I tak myślę to trzeba robić. I ja tu nie jestem jakiejś szczególnie złej myśli . Ale, faktem jest, że mój optymizm wynika być może w dużym stopniu z niewiedzy, bo ja na branży fonograficznej się nie znam w ogóle, trochę tylko - na prawach autorskich.

IW- Ale umie pan godzić sprzeczności, a nawet, czasem, nadawać jakąś logikę paradoksom.

LF- No, od tego jestem. Tak uważam, że to jest może coś, co potrafię robić w miarę dobrze, bo - tak jak pani powiedziałem - ja, obserwując różne zjawiska, staram się je zrozumieć, a nie - na nie reagować emocjonalnie; potępiać, krzyczeć, czy się zachwycać i klękać. Ja próbuję racjonalnie podchodzić, a jeżeli się podchodzi racjonalnie - widać, że nie ma tylko czarnego-białego, ale - że wszystko jest takie troszeczkę pośrednie, i że właściwie często dystans czy niemożność pogodzenie

pewnych rzeczy jest tworem sztucznym, wywołanym właśnie emocjami. A tak naprawdę, to można...

IW- A jak to z kolei z tego dużego na życie prywatne? Intelekt a emocje?

LF- Wie pani, ja sądzę, że oczywiście nie można się zawsze kierować intelektem, bo to byłoby zubożenie człowieka - emocje to jest ważna rzecz. I ja się emocjonuję często. Najwięcej mnie kosztuje coś, co jest dla zdrowia... Mianowicie - jak grywam sobie w tenisa dwa razy w tygodniu po dwie godziny i, po prostu, przegrywanie z kolegami, z którymi czasami wygrywam, doprowadza mnie do szewskiej pasji i absolutnej furii. Jeżeli wygrywa ze mną facet o cztery lata ode mnie starszy, a w dodatku z rozrusznikiem serca - i ja z nim nie mogę wygrać, to mnie strasznie to wkurza, ale jednocześnie nie umiem zebrać w sobie tyle siły i czasu, żeby wziąć sobie trenera i zacząć trenować gdzieś tam - po cichu - i po pół roku, czy roku się nauczyć i wygrywać. Ja chciałbym mieć sukcesy bez ciężkiej pracy, a wiem, że ci, którzy ze mną wygrywają - jak ten kolega, o którym mówiłem gra wielokrotnie więcej ode mnie i wielokrotnie więcej trenował, on po prostu na to sobie zapracował, że jest lepszy. A ja bym chciał - ot tak. A być może nie mam talentu do tej gry. Poza tym - wzrok nie ten, nogi słabe... No i - oni wszyscy nie palą, a ja wypalam paczkę Cameli dziennie. Niechby tak jeden z drugim wypalił paczkę Cameli dziennie i stanął na korcie, to by umarł w ogóle. Pięciu minut by nie wytrzymał. By umarł po dwóch papierosach. Tutaj się te emocje ujawniają, jakieś nieprawdopodobne zupełnie.

IW- Czy to taka przyjemność, ta gra w tenisa?

LF- No, jest. Czasami się wygrywa - to po pierwsze. A po drugie - to jest taki sport, który można do późnej starości uprawiać, byleby człowiek stał na nogach. A w lecie to ma szczególny urok, bo się zdejmuje koszulkę - bo to nie jest Wimbledon i można zdjąć koszulkę - i jestem opalony jak murzyn. Jak jest słońce, to nie ma większej przyjemności. Ja mam w dodatku podwójną przyjemność, bo gram te dwie godziny z koleżkami na słońcu, spociwszy się, ale opalając się jednocześnie, a potem jeszcze zapalam papieroska, kiedy oni po tenisie już nic sobie nie mogą zapalić.

IW- Wypijają wodę mineralną.

LF- To tylko jedna przyjemność, a ja mam te wszystkie plus jeszcze jedną.

IW- Czy żona też gra w tenisa?

LF- Nie. Jakoś nigdy się nie mogła nauczyć, może nie chciała. Poza tym, ona twierdzi, że ja zraziłem do tenisa, bo jakoś, nie wiem dlaczego, zacząłem na nią krzyczeć - więc chodzi o to, że ja nie mam talentu pedagogicznego, to ciekawe, ja - nauczyciel...

IW- Ale przyznam, że to chyba jest częste, że na swoją kobietę się pokrzykuje niepedagogicznie, bo mnie to samo właśnie spotkało.

LF- Ona powiedziała, że ja jej nie mogłem nauczyć jeździć samochodem, więc nauczył ją mój syn najstarszy, który już wtedy jeździł. Nawet chyba nie miał prawa jazdy, ale już dobrze jeździł i ją nauczył, bo na nią nie krzyczał. A ja podobno na nią krzyczałem, więc ona tenisa zarzuciła bo uznała, że ja jestem chamidło i ona się u takiego nie będzie uczyła. Ale Baśka nie chce żadnego sportu uprawiać, bo i tak jest w dobrej kondycji. Po czwórce dzieci jest szczupła, wysportowana - nadal nogę może zadrzeć o wiele wyżej niż głowa. Nie wiem - jakim cudem, bo żadnej gimnastyki nie uprawiała. Ona ma swój sport, typu - ogródek. Tam, w lesie, jak chce, to potrafi wykarczować pół lasu, tam znosić jakieś drągale ciężkie - ja bym tego nawet nie uniósł, a ona... Czyli - matriarchat. Tam się rodzi matriarchat. Ona zasuwa. Ciężkie prace wykonuje. Do najcięższych to już drwala wzywa, ale tak, to sama wszystko. Niesamowite.

IW- Widocznie lubi.

LF- No, więc to jest taki jej rodzaj ćwiczenia.

IW- Teraz o tych miłych rzeczach wspólnych chciałam..

LF- ???

IW- Bo wiem też, że państwo lubicie tańczyć. Bardzo.

LF- Rzadko mamy okazję. Poza tym - kiepsko jest z tym naszym tańcem, bo ja jestem z innego pokolenia, a ona z innego. Ona jest o siedemnaście lat młodsza.

IW- Inne tańce zna, tak?

LF- Tak. Pobierałem lekcje w Stodole końca lat 50-tych - początku lat 60-tych. Tam "Henio-meloman", te pierwsze rock'n'rolle, taki Stodołowy styl.

IW- A, to się będzie panu podobać nasza płyta dołączona. Oldies Goldies '55.

LF- No, wiem. Baśce też. Ale ona jest młodsza. Jednak te siedemnaście lat, to jest wielka różnica jednak. I ona już ma inny styl; jakiś bardziej dyskotekowy chyba. Wracając do tańca, to zupełnie się nie możemy jakoś zgrać. Zazwyczaj kończy jedną wielką improwizacją. Ponieważ obydwoje mamy jakieś tam wyczucie rytmu - ona się potrafi ładnie ruszać, a ja się jakoś dostowuję.

IW- Do naszego pisma będzie dołączona płyta z muzyką świetną do tańca, zachęcam. Mam tu gdzieś nawet spis utworów. Proszę rzucić okiem. Pewnie pan pamięta.

LF- No, fajne... Tak...

IW- Mamy takie dwa tradycyjne pytania, które w tym pierwszym numerze zadajemy wszystkim. Jedno brzmi: "Co pan sądzi/pamięta/myśli o muzyce lat 50-tych"?

LF- No, dobrze myślę. Pamiętam pierwszy Festiwal Jazzowy w Sopocie, w 57-mym roku. Pamiętam - to była absolutna euforia. Miałem wtedy piętnaście lat. Jakieś cuda-niewidy się tam działy. Jednocześnie był konkurs Miss Polonia, chyba, pierwszy. Kompromitacja - jakieś okrzyki głupie i tak dalej... Ale sam Festiwal Jazzowy był fantastyczny. Ech, ci dzisiejsi dziadkowie, nestorzy właściwie, tacy jak Karolak, Namysłowski, Wróblewski i już nie pamiętam jacy inni, bo jeszcze jakieś postacie poginęły z firmamentu - jak Zygmunt Wichary... Oni tam wszyscy grali jako młodzi chłopcy. Na ciężarówkach jeździli. Takie jakieś Chevrolety wynaleźli, z tym dixie landem objeżdżali cały Sopot. Było fantastycznie. I to był mój pierwszy kontakt.

IW- Zachodnia muzyka docierała jakoś?

LF- Oczywiście. To były te prywatki, o których Gąsowski śpiewał - Presley, Haley, standardy. Nie wiem jak, ale fantastycznie to wtedy działało. Te płyty były, jakoś dochodziły do nas. I to była fascynacja wielka. Później przyszli Beatelsi, później dopiero. Miałem szczęście, bo te moje młode lata - jak ja jestem z '42 roku, no to w '57 miałem piętnaście lat - upłynęły mi miło, to był dobry czas. Byłem pierwszym pokoleniem, które świadomie tę muzykę z zachodu przyjęło i tak mi zostało. Nie słucham teraz zbyt często, ale te stare kawałki - z wielkim sentymentem.

IW- I pytanie drugie: z czym się panu kojarzy taki termin - "Fonosfera"?

LF- Nie wiem... To jakiś fachowy termin jest?

IW- Nie. Proszę o skojarzenia...jakiekolwiek.

LF- Generalnie, pewnie bym powiedział, że "Fonosfera" to jest sfera dźwięku w ogóle. Bo świat składa się też i z dźwięku, prawda. Bo jest milczenie, jest fizjologia, jest dźwięk. "Fonosfera"... No, fajna sfera. Chociaż, szczerze mówiąc, ja tu mam fonosferę w domu taką, że cholery można dostać - Baśka siedzi przy komputerze i puszcza sobie na cały głos telewizję, jeszcze dzieci włączą drugi komputer, ktoś włączy trzeci telewizor, jeszcze jakaś muzyka idzie - cholery można dostać. Ja w miarę przyzwyczajony jestem. Jak tu chcę coś napisać, z kimś porozmawiać - nie ma takiej możliwości. Jak we włoskiej rodzinie na filmach, tych starych neorealistycznych filmach - krzyk, hałas, harmider...

IW- Polska rodzina jest taka sama.

LF- Cisza jest na razie, ale jak to całe towarzystwo przyjdzie...Pies jeszcze lata, kot miauczy, wiewiórek tylko siedzi cicho...

IW- Czyli - wiewiórek ma najlepszy charakter? Ale za to gryzie.

LF- Tak, ale to dzikus jest. Troszkę gryzie, ale nie za bardzo. Pazurki ma... Także..."Fonosfera" dobrze mi się kojarzy, bo dźwięk to jest rzecz bardzo atrakcyjna. Ja sam żałuję, że zaniedbałem grę na fortepianie - kiedyś się uczyłem, ale zdradziłem na rzecz podwórka, kolegów i tenisa. A tenis, to był pretekst, bo ja wtedy po raz pierwszy brałem rakietę do ręki i nauczycielka powiedziała, że albo tenis, albo fortepian, bo to się jakoś przegub usztywnia... To ja powiedziałem, że jednak tenis i rodzice mi odpuścili. Pamiętam, ze szkolnych czasów, właśnie Tomka Bielskiego, dziś prezesa pani firmy, jako już wtedy pięknie grającego.

IW- Na czym?

LF- Na fortepianie. A ja to zaniedbałem. Poza tym - może też byłoby fajnie gdybym umiał śpiewać, ale nie umiem, kurczę. Mam słuch i poczucie rytmu, ale to nie wystarczy, bo mam to, co mam z natury - czyli coś, co nie wymaga wysiłku.

IW- Czyli - nie zostało panu nic z tej nauki na fortepianie?

LF- Trochę. Mogę sobie usiąść i dowolną melodię zagram jeszcze ze słuchu. To nie problem, ale ręce są niewprawne. Ja sobie tę melodię dobiorę, nawet bez przygotowania, ale zagrać czegoś płynnie nie potrafię, bo mam już za sztywne ręce. Nie mogę szybko po klawiszach biegać.

IW- Ale jest to miara zdolności muzycznych, które, może nie szkolone, ale jednak są...

LF- Niektórzy się dziwią, że ja biorę i sobie zagram dowolną rzecz, nawet zapomniawszy już nuty, poza elementarzem. Tak jak murzyn - ma wyczucie rytmu, siądzie i też będzie grał. Ja nie mam chyba murzyńskich przodków... Nie...Chłopska rodzina, gdzieś z Zamojszczyzny, nie może mieć murzyńskich przodków, ale coś z Murzyna w sobie mam...

IW- Czas już powoli zmierzać ku końcowi, więc tak sobie teraz zbieram te wszystkie cechy, o których pan mówił, że trzeba mieć dystans do siebie i rzeczywistości, poczucie humoru, jakąś otwartość, szczerość, tak? A co pan jeszcze, na koniec, o popularności sądzi? Bo miło jest jak nas lubią, prawda? Miło jest.

LF- To ulotna rzecz niesłychanie, i ona może być zdjęta jednym ruchem. To bardzo rzecz ulotna i na niej niczego budować nie można. I ja też na niej nie buduję. Popularność jest miła, rzeczywiście. Czasami dość uciążliwa, bo nie możemy normalnie chodzić po ulicach - spojrzenia są dziwne, na ogół życzliwe - więc i do tego się można przyzwyczaić. Natomiast - popularność to jest rzecz nabyta. Popularność się zdobywa, a później można ją nagle stracić, jednym ruchem. Właśnie dzięki mediom - lubią, lubią, nagle coś ogłoszą...i koniec.

IW- Jak i czy zdobywał pan tę swoją popularność? Czy zależało panu na tym, żeby ją zdobywać? Czy to się tak samo dzieje?

LF- Moim zdaniem - samo, bo ja, uczciwie powiem, nigdy w życiu, poza marginalnymi wyjątkami, które bym policzył na palcach jednej ręki, nigdy nigdzie z żadną ofertą dotyczącą mojej osoby nie występowałem. Jakoś tak było, że to ja dostawałem oferty, a sam - nigdy, bo uważałem to za rzecz poniżającą i takie narzucanie się. Po co?...Nigdzie się nie pchałem i w tym sensie nie ponoszę winy za tę moją popularność, bo dalej - jak falę złapałem, to już się płynie na tej desce, ale można się przewrócić bardzo łatwo. Ja się nie pchałem. Po prostu - tak to wychodzi, ale nigdzie się nie pcham. To jest to, co mi żona zarzuca - że ja nie umiem odmawiać. Bo, rzeczywiście - dzwonią media, ludzie z taką prośbą, z siaką... Być może z Uniwerka to wziąłem, że, po prostu, nie umiem odmówić. Bo studentom też się nie odmawia - proszą o to, czy o tamto. Po prostu, jakbym był tak wyuczony - żeby odmawiać - to pewnie bym odmawiał. A tak - myślę sobie: "Zawód ludziom zrobię...". I tak to dalej idzie.

IW- A dobrze przeżyte życie? To jest CO?

LF- Czy ja wiem. Trudno mi powiedzieć. Kiedyś ojcu bardzo zazdrościłem przejść z wojny i z Powstania. I że miał Krzyż Walecznych i Virtuti Militari. To były chłopięce rzeczy. Nie wiem. Dobrze przeżyte życie to jest takie, kiedy ma się taki spokój wewnętrzny, na starość. Niestety - zdarza się widzieć, szczególnie w świecie polityki, ludzi wiekowych, którzy strasznie są aktywni, wściekli - znaczy - nie mieli dobrego życia.

IW- Czyli - spokój jako odsunięcie się od aktywności? Czy - spokój jako spokój wewnętrzny i harmonia?

LF- Wewnętrzny. Czyli poczucie, że właściwie człowiek już jest... już dobija do jakiegoś portu, ale już żadna byle jaka fala go nie przewróci. Taki spokój - że wpływam do jakiejś laguny i wiem, że już tam wpłynę i już się niczym specjalnie nie muszę przejmować, a oglądając się wstecz na tę drogę, mogę powiedzieć, że ona nie była taka najgorsza. Myślę, że dobry jest taki test na uświadomienie sobie, że tak powinien człowiek w zasadzie żyć.

IW- Że nie mam sobie wiele do zarzucenia?

LF- Zbyt wiele. Nie mam sobie zbyt wiele do zarzucenia. Bo jak ludzie mają sobie zbyt wiele do zarzucenia to na ogół szukają winnych - a to ustrój, a to jacyś oprawcy, a to jacyś źli ludzie, a to tamto siamto. Co oczywiście ma znaczenie, i często bardzo wielkie , ale ja myślę, że człowiek jest jednak sam kowalem własnego losu i ludzie, którzy niczego nie zwalają na zewnętrzne okoliczności, w każdych

warunkach potrafią przeżyć przyzwoicie. Ja bym pewnie nie potrafił. To znaczy - pewnie w jakichś ekstremalnych warunkach mógłbym gdzieś pęknąć, załamać się, rozlecieć. Ale, na szczęście, nie bywałem w takich sytuacjach. Nie musiałem się sprawdzać tak dogłębnie.

IW- No tak, ale ma pan chyba bardzo dużą samoświadomość. To odróżnienie JA od NIE-JA jest u pana bardzo silne...

LF- To jest potrzebne, bo w końcu dopływam powoli do tej mojej laguny. Ja tu podjąłem publiczne zobowiązanie, żeby nie przeżyć siedemdziesiątki, bo nie wypada, żeby ZUS nie zbankrutował. Po siedemdziesiątce to, z nielicznymi wyjątkami, człowiek nie ma życia. Takie złożyłem zobowiązanie i zobaczymy...

IW- Estetyzm za duży, chyba, i pochopny.

LF- Będę się musiał rodziny zapytać. Jak oni powiedzą: "Dobra, dziadek - wszystko jedno, w zasadzie to już możesz nas opuścić..."

IW- Strasznie smutno wyszło. Ja nie chciałam tak smutno. Może teraz coś dla młodych - niech czytają i się uczą. Ale żeby ich nie zrazić.

LF- Ale u mnie jest taki kłopot... Ze starym ojcem jest tak, że jak ma siedmioletnią córeczkę, to co? Z dziesięć lat trzeba pożyć. Co najmniej dziesięć - żeby ją widzieć jako dorosłą kobietę. Ale jeszcze dziesięć lat ma obowiązku.

IW- Ale córki dłużej potrzebują ojców.

LF- No, zobaczymy. To jeszcze do negocjacji. Zawsze jakiś wyjątek może się trafić.

IW- Więc - ostatnie już pytanie. Co można przekazać, jako najważniejsze, dziecku swojemu? Na co ma uważać?

LF- No, ja mam dwie takie nauki, bardzo proste. Mianowicie - pierwsza, nie wiem czy to jest zbyt moralne, ale mówię tak: Niczego nie można za bardzo chcieć, zbyt gorąco. Trzeba chcieć letnio. I to jest dobre dlatego, bo jeżeli coś się człowiekowi uda, to powie sobie: fajnie. Nawet dwukrotnie bardziej się ucieszy, bo nie liczył na to, że się uda. Udało się - fajnie, cieszę się podwójnie, bo nie liczyłem na to.

IW- Ale przecież chęć jest motorem.

LF- Zaraz, zaraz. Ale jak przegram, jak się coś nie uda, to o połowę mniej żałuję; Jasne - wiedziałem, że może się nie udać, więc się nie martwię. A jak ktoś - całego siebie inwestuje w coś jednego, to później jest dramat, bo - jak się uda, to on się nie cieszy, bo on sobie na to zasłużył, i jest kombatant wielki, a jak się wywala, to mu się wywala całe życie. Więc nie chcieć niczego zbyt mocno, chcieć letnio. Mówię, nie chcieć z rzeczy materialnych - typu kariera, władza - i takie rzeczy. Bo uczucie w

postaci miłości, to już trudno - nad tym nikt nie ma kontroli. Natomiast, druga rada, jest taka: żeby mieć jedną rzecz, przynajmniej jedną rzecz, jeden rodzaj działalności, o której się wie, że się ją robi lepiej niż inni. Trzeba sobie coś takiego znaleźć.

IW- Dla dobrego samopoczucia?

LF- Żeby czuć się lepszym niż inni. Coś takiego trzeba mieć. Czyli - każda jednostka ma teoretycznie szansę być lepszą od innych, ponadprzeciętną w pewnej dziedzinie. U mnie to nie jest tenis, ani muzyka, ani nic takiego, u mnie tak się jakoś złożyło, że dość dobrze czuję się w swojej dziedzinie zawodowej, czyli w tym prawnictwie, którego się dość dobrze nauczyłem i nie mam kompleksów. Tutaj czuję, że tego nie robię gorzej niż inni, a właściwie może lepiej niż niektórzy. I każdy powinien mieć coś takiego, w czym się czuje mocno.

IW- Czyli - nie subiektywne poczucie psychiczne, tylko wyszkolona umiejętność.

LF- Tak jest lepiej. Warto mieć coś takiego. Żeby nie być we wszystkim przeciętnym, czy nie mieć wszystkiego po trosze, mieć coś swojego jednego. Bo bywa tak, że ludzie wszystkiego chcą... A to są wysportowani, a to... melomani. A wszystko się przyobleka w przeciętność. W jakimś sensie zawodowy sport jest dobrą taką odskocznią, bo - co by nie mówić o Gołocie, to to jest jednak jeden z najlepszych bokserów na świecie. I on może dzisiaj powiedzieć, że boks mu się nie podoba, że go nie lubi. Nie wiem - czy mówi prawdę. Bo jest rzecz, którą robi lepiej od innych.

IW- Uhm.

LF- W każdej dziedzinie to się może zdarzyć. I dlatego ja to dzieciakom swoim przekazuję: Znajdźcie coś takiego, w czym będziecie dobrzy. Przekazuję te dwie rzeczy - nie chcieć niczego za mocno, mieć dystans do świata i siebie, i znaleźć coś takiego, w czym się dobrze czujemy.

IW- Nie na zasadzie rywalizacji, tylko...

LF- No, owszem, może i na zasadzie rywalizacji, ale trzeba sobie coś takiego znaleźć. Można się w tym cicho specjalizować, może to coś po prostu samo życie przyniesie - jakiś dobry wybór zawodowy i okaże się, że ktoś jest dobrym prawnikiem, modelką, czy pisarzem.

IW- Mądre to. Nic dodać, nic ująć. Jeno w życie wprowadzać...

LF- Dobrze.

IW- Dziękuję panu.

Z lechem Falandyszem rozmawiała
Iwona Wiśniewska

SALON NIEZALEŻNYCH

UNIKALNE NAGRANIA NAJLEPSZYCH POLSKICH KABARETÓW

Kabaret studencki wczesnych lat 70-tych. Jest pierwszą płytą firmy “Selles" z serii “Kabarety Studenckie PRL-u".

Archiwalna ścieżka dźwiękowa to wynik selekcji różnych nagrań kabaretu z sal koncertowych, studiów profesjonalnych, akademików, klubów studenckich itp. Kabaret utworzyło trzech przyjaciół - Jacek Kleyff, Michał Tarkowski – studenci architektury, Janusz Weiss – student polonistyki.

Okazało się, że zestawienie tych trzech osobowości dało mieszankę wybuchową – kabaret o nazwie “Salon Niezależnych". Kontekstem jego działania był PRL – epoka Gierka z całym absurdem komunistycznej pompy. “Salon" tępił ją i ośmieszał wszystkimi możliwymi środkami. Wszyscy fani pamiętają przenośną trybunę Jacka Kleyffa. Z wbudowanymi przegródkami na szklankę wody i paprotką (rekwizyty znajome ze wszystkich zebrań). Humor “Salonu" to sprawa osobna. Kto nie widział w “akcji" Tarkowskiego, Kleyffa czy Weissa, nie wie co to znaczy “umierać ze śmiechu". Atmosferę oddają zdjęcia zamieszczone w albumie “Salon Niezależnych". Kabaret był tępiony przez cenzurę i funkcjonariuszy kultury. Płyta jest żywym zapisem jego obecności w tamtych czasach, zapisem żywiołowym lat 70-tych, pełnym humoru, absurdu i gorzkiej refleksji.

Uroczysty benefis “Salonu Niezależnych", zorganizowany przez Firmę “Selles", Program III PR i Program II TVP, odbył się w dniu 5.12.1998 r. w gościnnych progach Studia Radiowego im. Agnieszki Osieckiej, na ulicy Myśliwieckiej 3/5/7. Budynek Radia na Myśliwieckiej na jeden wieczór zmienił oblicze. Portrety Gierka, muzyka manifestacyjna lub dożynkowa, hasła okolicznościowe – “Pasztetowa zawsze zdrowa" lub “Naszą celą jest nasza partia". Zaproszeni goście to przyjaciele i fani z tamtych lat, ale również znane osobistości życia politycznego (Jan Lityński, Krzysztof Bielecki) i artystycznego (Andrzej Wajda, Krystyna Zachwatowicz, Małgorzata Braunek). Z całą pewnością było to wydarzenie kulturalne i towarzyskie Warszawy, a wkrótce dzięki przekazowi telewizyjnemu – całej Polski. Rozmawiam z Michałem Tarkowskim, reżyserem i jednym z bohaterów benefisu. J.O. – Czy jakiś czas temu spodziewałeś się, że wystąpisz jeszcze w barwach “Salonu Niezależnych". M.T. – To było zdarzenie niespodziewane, zaskakujące... J.O. – Co czułeś kiedy 3 grudnia 1998 r. stanąłeś na scenie przed Twoimi fanami i przyjaciółmi po tylu latach nieobecności.

M.T. – Szczerze?! Miałem łzy w oczach, nogi miękkie, w gardle sucho... mam mówić dalej...
J.O. – Nie musisz. My czuliśmy to samo. Wspólnie rozluźniliśmy się dopiero przy waszym hymnie – “Czerwony pas". Teraz - już po benefisie i po emocjach. Coś mówili wasi goście? Podobało im się?
M.T. – Powtarzało się jedno zdanie. “Michał, dziękujemy, było kulturalnie".
J.O. – To dość skromne spostrzeżenie, jak na rozmach tej imprezy.
M.T. – Wiesz, oni też byli wzruszeni. Dopiero na bankiecie, po kilku lampkach, daliśmy upust radości, nastąpiły uściski, okrzyki, itd.
J.O. – Benefis minął. Transmisja telewizyjna była. Płyty “Salonu" - w sprzedaży i wiem, że sprzedają się dobrze. Ciśnie się pytanie – Co dalej?! Czy Michał Tarkowski, niedawny beneficjent “Salonu Niezależnych", aktor znany z wielu polskich filmów, reżyser filmowy ma jakąś propozycję artystyczną na dziś ?
M.T. – A masz jakiegoś sponsora?! Jestem gotowy i otwarty na propozycje.

Janina Ostala

Trafiłem totalnie

Kiedy umawiałem się z Irkiem na wywiad, zaproponowałem spotkanie przy piwie. - Już nie piję - odpowiedział śmiejąc się do słuchawki. Spotkaliśmy się w hotelowej restauracji. Zdziwiłem się bardzo, widząc szklankę piwa stojącą przed talerzem z apetycznie wyglądającym łososiem. - A jednak piwo! - zawołałem wesoło, jakbym przyłapał go na gorącym uczynku. - Nie, nie - zaprotestował bez mrugnięcia okiem - to piwo bezalkoholowe, ale wyjątkowo niedobre - dodał odsuwając szklankę.

-To jest Marek Kabul - przedstawił mnie siedzącemu z nim Ryszardowi Czerno, reżyserowi jego videoklipu - Marek przyjechał kiedyś z Kabulu, kupił sobie Dynacorda i nagłaśniał kapele.

- Rzeczywiście, dawno temu, ty już wtedy byłeś doświadczonym muzykiem po podróżach z Nalepą do Rosji...

- Nie, było tak; z Nalepą zagrałem trasę Blues Breakout, a w Rosji byłem chyba wcześniej z Grunwaldem. Miałem już wtedy swój zespół "Apokalipsa" , który okazał się na tyle ciekawy, że była to "wylęgarnia", jak się potem okazało, wielkich gwiazd: Jasiu Borysewicz, Marek Surzyn...

- Ty...

- Ja..., Wilczek, on też był bardzo zdolnym basistą, teraz jest w Niemczech. Uważam, że to był na prawdę zbitek zdolnych i pracowitych ludzi. Graliśmy na niezłym poziomie.

- To był bardzo fajny zespół. Bardzo go lubiłem. Pamiętam jak trenowaliście Jasia na radiach w hotelach, gdzieś na trasie...

- I na dole w piwnicy. Wykleiliśmy ją pojemnikami na jajka, Jaś przyjechał na Śląsk i kiedy już nie było mnie stać na hotel, zrobiliśmy mu koję i on tam spał. Czasem już wszyscy tam spaliśmy, we czterech, na takim hamaku. Oczywiście był to niechlubny okres jeśli chodzi o picie. Nie wylewało się za kołnierz. Najpierw się ćwiczyło, potem ćwiczyło się jabole i tak na okrągło...

- Byliśmy młodzi...

- Poszukujący różnych wrażeń...

- Rozrabialiśmy ostro...

- Ale i pracowaliśmy. Co tu dużo gadać. Źródło talentów i nawet sam fakt, kiedy Nalepie kapela "spuściła wodę" przed dużą trasą Blues Breakout, Tadek zadzwonił do mnie i mówi: Irek ratuj, nie mam z kim grać, został mi tylko basista... i po dosłownie

czterech godzinach prób w piątek, zagraliśmy koncert w sobotę, w Spodku - olśniewający. Mira płakała, że czegoś takiego nie widziała, że po czterech godzinach ćwiczenia można tak zagrać... To był jeszcze wcześniejszy skład Apokalipsy, na gitarze grał Maciek Radziejewski. Ale z Nalepą graliśmy tylko jedną trasę dlatego, że ja cały czas myślałem o Apokalipsie. Wierzyłem, że to wszystko jakoś się uda. Niestety, mieliśmy do czynienia z takim systemem dziwnym, że nie było miejsca dla kapel, bez tzw. gwiazd z przodu. Musiała być albo Frąckowiak, czy Grunwald, rzucali nam takie różne hasła, ale myśmy nie chcieli mieć takich gwiazd z przodu. Bo nie było klientów, którzy dobrze walczyli. Wszystko było OK, tylko graliśmy taką muzykę, która nie była kupowana przez media. To był rock... taki troszeczkę rythm and blusowy...

- Klimaty, improwizacje... pięknie wtedy grałeś na skrzypcach...

- No, no... To było coś innego. Wtedy nie było takiego grania na rynku. Teraz młodzież ma szczęście; coś sobie gra, wystarczy trochę wytrwałości i już może wejść na listy. Wtedy była totalna bariera, media nas nie kupowały, a jak się w mediach nie pokazałeś, to ciebie nie było. I tak to było z dziesięć lat włóczenia się z Apokalipsą.

- Dziesięć lat?

- Tak, z przerwami, a wcześniej Silesian Blues Band.

- To nie było SBB?

- To było wcześniejsze SBB. Tak samo był tam Piotrowski, Antymos, Skrzek i ja. Graliśmy bluesa, a kompozycje Józka dopiero powstawały. Józek poszedł do Cześka Niemena, potem ściągnął kolegów, ja w międzyczasie byłem na studiach.

- Studiowałeś w Katowicach?

- Tak, na Uniwersytecie.

- Myślałem, że w muzycznej...

- Nie, moi rodzice mnie inaczej widzieli, chcieli żebym nie miał tego co mam zawodu, żeby mi było w życiu lepiej. Pewnie by mi było gorzej...

- A co studiowałeś?

- W. T.

- W. T.?

- Wychowanie Techniczne. Bo po Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych byłem dosyć dobrze wyedukowany, a uniwersytet to była taka przykrywka dla rodziców i dla wojska, bo jeszcze nie miałem załatwionej tej sprawy. Wybrałem sobie najlżejszy kierunek, żeby mi szło jak z płatka, a nie musiałem w ogóle chodzić na

zajęcia, ale po trzech latach odpuściłem to i udzielałem się w paru nieciekawych kapelach, a potem się zdenerwowałem. Po Apokalipsie zrobiłem Irjan, z moim kolegą Jasiem Janowskim, który już nie żyje. Potem miałem taki fajny okres: pojechałem do Torunia i znów, drugi raz - do podziemia, czyli kluby studenckie. Zacząłem ćwiczyć i to już było następne dziesięciolecie ćwiczenia. Wreszcie w 83, czy w 84, już nie pamiętam dokładnie, wymyśliłem Shakin' Dudi i wtedy dopiero ludzie dowiedzieli się, że taki Dudek w ogóle istnieje.

- No właśnie. Ja mieszkałem wtedy w Anglii. Kiedyś przyjechałem do Polski, włączam telewizor, patrzę a tu Irek, total showman, kapela dosyć duża...

- Tak, bo Shakin' Dudi to była kapela rock and rollowa i miała sześć osób, ale ja skorzystałem z tego, że to było już komercyjne, latało na listach, wszędzie było, no i zacząłem wozić ze sobą big band dwudziestu paru osób. Jechaliśmy z całym autobusem. Ja byłem niezależnym producentem. Wtedy to się nikomu nie śniło. Pomagał mi Ponton, czyli mąż Ewy (p. Ewy Konarzewskiej - dyrektor biura Stowarzyszenia "Niezależna Fonografia Polska").

- A jak to było wtedy możliwe, żeby robić koncerty bez sponsorów? Bo dziś nikt już nie słyszy, żeby ktoś zrobił koncert bez sponsorów.

- Normalnie. Przede wszystkim były stawki odgórnie narzucane. Wiadomo było ile muzyk, ile artysta może zarobić. Sprzeciwiałem się temu, bo to były nonsensowne stawki. U mnie muzycy zarabiali tak, jakby każdy miał stawkę ministerialną, czyli recital. Pamiętam stawka ministerialna była w tym czasie pięć tysięcy zł, a mnie muzycy z big-bandu też zarabiali po pięć kafli za koncert, a ci z Shakin' Dudi po dziesięć. To się nie mieściło w pale, ale do koncertów nie mieliśmy żadnych sponsorów. To były realne pieniądze, które ludzie wrzucali kupując bilety. Jak myśmy zagrali dużą salę, na sześć tysięcy osób, to ja mówiłem, że chcę działkę od wpływu, a nie, że tam w ministerstwie ktoś ustalił mi działkę niezależną od popytu.

I powiedziałem: moi muzycy też muszą zarobić. Graliśmy bardzo mało, ale za odpowiednie pieniądze. I uważałem, że to była bardzo dobra "sztuka", na wysokim poziomie, bo ludzie się bawili, muzycy się przygotowywali, byli przejęci, bo wiedzieli, że coś w tym jest. I muzyka, i pieniądz. Wtedy ludzie rzeczywiście kupowali bilety. Wszystko było realne, normalne i uważam, że Shakin' Dudi było bardzo popularne. A kiedy byłem najbardziej popularny, przy szczycie sławy, rozwiązałem Shakin' Dudi.

- Czemu?

- Bo chciałem pokazać, że to była fanaberia. Ktoś mi potem zarzucał: zdradziłeś bluesa, dla szmalcu, dla rock and rolla, takie głupawe rzeczy gadali... rozwiązałem...

Po czym mówię... o ! Zabawię się... a wszyscy pytali: Skąd ty to pamiętasz ? To były lata twojej młodości ? - A ja mówię nie. Po prostu była moda na punka, a rytmy punkowe biorą się z rytmów rock and rollowych, więc wpadłem na pomysł, że jak się zagra rock and rolla, to będzie innym rodzajem punka. A z drugiej strony będzie to bardzo liberalne, będzie komercyjne. No i to się sprawdziło. Ale potem wymyśliłem The Dudis, czyli kapelę z lat sześciesiątych... te "the"

- The Dudis..... I to też z Darkiem Duszą ?

- Też z Darkiem i Jurek Piotrowski na bębnach... De Dudis ? (ha ha ha) - Tak, The Dudis... ale, że się zakochałem... To znaczy, przygotowałem już wszystko, płytę, zreszta ta płyta jest ponoć bardzo dobra (śmiech), przygotowałem wszystko i pojechałem do Holandii...

- No właśnie, a gdzie poznałeś dziewczynę?

- Tutaj, w Polsce, na festiwalu w Opolu. Przyszła po autograf dla swojego brata. Powiedziała, że sobie nie wyobrażała, że polski artysta może mieć taki show, tak występować, takie coś grać...

- Który to był rok?

- 87 chyba...

- ... była zaskoczona...

- Aha... no ja miałem ten The Dudis, ale że się zakochałem... dla mnie to jest tak: sztuka sztuką, ale...

- Miłość miłością...

- Tak, zostawiłem to, odłożyłem, pojechałem do Holandii. Potem jeszcze nagrałem taką płytę... to się chyba nazywała Nowa Płyta, bo na The Dudis było ciut ciut za wcześnie, wyprzedził modę - w Polsce moda na lata sześćdziesiąte przyszła póżniej. A ja, na tej Nowej Płycie zrobiłem swoją orkiestrę kameralną... smyczkową. Powiedziałem: to będzie przebój, to był chyba 89 rok. W MTV jeszcze nie było Unplagged, a ja wiedziałem, że zrobiłem coś nowego. Zaprosiłem "pisaków" i krzyknęli na mnie:

- To jest nowe ? Że ze skrzypcami ? No wiesz ?

- A ja mówię; zobaczycie. Nie wykumali mnie. Dopiero po Unplagged, wszyscy zaczęli skrzypce... Ale ta płyta jest. Można zobaczyć kiedy została wydana, jaki to jest skład, że to jest akustycznie grane, i że w jakiś sposób umiałem tę modę wyprzedzić. No i żeby dużo nie gadać, również znalazłem bluesa polskiego. Bo dla mnie blues śpiewany po polsku to nie znaczy, że to jest polski blues. Wyszedłem z

takiego założenia, że skoro triada, o którą oparty jest blues, czyli tonica, dominanta, sub-dominanta, została zapożyczona z klasyki i czarni ją wzięli i stworzyli bluesa na terenie amerykańskim. To ja też się cofnę i spróbuję przy pomocy podobnych do ich rytmów rozszerzyć pojęcie harmonii bluesowej. Nie wiem czy nie zrobię jakiegoś idiotyzmu, czy nie za daleko w tym zabrnę, ale taki miałem pomysł. Zaprosiłem Bronka Dużego, bo ja jestem nie pisaty...

- Bronek Duży ?

- Super puzonista..., razem żeśmy siedzieli i szukaliśmy współbrzmienia harmonicznego, dla pewnej linii melodycznej i nawet zamykałem niektóre swoje kompozycje w tonice... Czasami jakiś długi akord, żeby nie komplikować, jak będziemy potem szukać tych współbrzmień. I wyszło coś takiego, że rzeczywiście zjeździłem największe festiwale bluesowe na świecie, gdzie wszyscy się mnie pytali: czy tak brzmi blues po polsku ? Wreszcie nagrałem to dla WDR-u, w Kolonii, w klubie Subway, gdzie jak zobaczyłem kto tam gra, że czołówka światowych jazzmanów, to zgłupiałem. Gdzie ja tu pasuję? Przyjeżdża telewizja, kręcą, live, wiesz , ja zgłupiałem, a tu po każdym koncercie standing ovation i jeszcze dotychczas, jak niedawno jechałem pociągiem, Jurek Grunwald mnie spotkał i mówi: Irek widziałem cię znowu gdzieś tam w telewizji. Ten program był cztery lata temu nagrany i cały czas lata. Wydałem też płytę z tego koncertu, dostałem prawa z telewizji i taka firma Ruth Records, bardzo dobrze prosperująca na tamtym rynku to zrobiła. Ale, że znowu moja dusza jakaś taka..., że nie mogę długo tego samego. Czegoś szukałem, nie wiem. Pomyślałem: teraz znowu mam ochotę poszaleć z Shakin' Dudi. Ale, że już jestem po wypadku, mam swoje lata, swoją tuszę, głupio by wyglądało, żeby tak skakać. Zresztą już by mi się to nie udało, rozwalać pianina i wszystko... Może spróbuję coś trochę innego, ale z Shakin' Dudi. Powiem ci, że najpierw postanowiłem to sprawdzić na Rawie Blues, czy młodzież to kupi. Potraktować występ na Rawie Blues jak papierek lakmusowy, wyjdzie czy nie. Zagrałem i nagle... przecież ta młodzież, oni nie znają takich utworów, to nastoletni ludzie. Bisy, bisy, (imituje śpiew widowni)

- To było w tamtym roku, z Shakin' Dudi. Trzeciego października. Oczywiście zagrałem też mały skład Symphonic Bluesa, ale zauważyłem, że Shakin' Dudi rozweselił i rozbawił. Ludzie chodzili, ci młodzi się pytali, skąd to się wzięło? Ja mówię, że ta muzyka ma piętnaście lat. I powiedziałem sobie: skoro jest taki oddźwięk, spróbuję. Raz już miałem ochotę, dziewięć lat temu na zagranie Shakin' Dudi i wtedy Dusza napisał do mojej muzyki teksty i sprawdziłem, po dziewięciu latach, co się stało. Kurczę, nic się nie zestarzały, wręcz super są. Trafiłem totalnie. Myśmy pisali o naszych przyzwyczajeniach, jakichś śmiesznostkach związanych z byciem Polaczkiem, albo coś ze sobą samym. Piętnować swoje złe cechy.... czy

kompleksy jakieś, nieudaczność. Dziewięć lat temu chciałem to zagrać, ale nie rock and rolla, tylko boogie. Ale przesadziłem trochę z sekcją dętą. I nagle telefon z Nowego Jorku, Maciek Radziejewski dzwoni do mnie i mówi tak:

- Słuchaj Irek, co robisz ?

- A ja mówię: no wiesz, odgrzałem Shaking Dudi i chyba będę grał coś w kierunku swinga... On mówi: kurcze, tyś trafił w samo sedno. Od paru miesięcy w Nowym Jorku to się nazywa jam swing, albo swing revival i jest Brian Sietzer Orkiestra, czy Squirell Nut Zippers, zespoły młode, które po prostu się wzorują na tamtych latach czterdziestych. Małolaty chodzą tańczyć swinga, totalnie alternatywna rzecz dla techno, dla rap-u... - Oż, mówię, to bardzo dobra informacja. Wyślij mi jeszcze parę nagrań.

- I nagle zobaczyłem, że ja się mieszczę w tej kategorii. Jedni grają bardziej boogie, jedni bardziej dixi, jeden swinga, niektórzy bardzo o bluesa zahaczają, ale – mówię - to jest moje! To jest to co chcę grać. No i rzeczywiście, pod wrażeniem zdecydowałem, że ten rok będzie należał do Shakin' Dudi i wszystko uczynię, oczywiście bez prostytuowania się, w sposób elegancki uczynię, żeby się ludzie dowiedzieli o tym, co robię. I choć zawsze byłem wyzbyty przesadnej skromności, uważam, że to właśnie będzie przebojem tego roku. Właśnie ten Shakin' Dudi, taki swingujący, taki jam swing, taki trochę inaczej grany, a jednocześnie bardzo komercyjny, przez teksty, przez inny rodzaj zgrania. Bo zgranie też jest udergroundowe, czyli bez pogłosu, jest alternatywne. Myślę, że młodzież w Polsce bardzo poszukuje i to będzie coś innego. Natomiast starzy, którzy nie poszukują, jak posłuchają czegoś takiego, też ich będzie kręcić. Na przykład utwór "Gdy wracam późno". Kiedy szukałem opiekunów medialnych, zadzwoniłem do Trójki, do Kaczkowskiego z pytaniem, czy by mógł opiekować się tą płytą ? On mówi: oczywiście, tylko musi najpierw posłuchać Marek Niedźwiedzki. Przyszedłem, zawsze mogę poddać się weryfikacji przed człowiekiem, który się zna. Pierwszy utwór, drugi, siedzi nic nie mówi i po trzecim mówi: Irek nie mam pytań, super jest, wchodzimy. I tak się stało, że już teraz to lansują, puszczają...

- Na kilku play listach jesteś już na pierwszych miejscach...

- No właśnie. W paru radiach. Dzwonią do mnie ludzie, gdziekolwiek się pokażę, nawet tu, przed SelleS-em ktoś krzyczał: "...a żonie czujnej jak Policja wciąż się marzy prochibicja, żonie czujniej jak hunowie tulko monogamia w głowie". Ten tekst zaczyna już być chodliwy i ludzie już to znają.

- Nie udało mi się jeszcze usłyszeć tej płyty. Nie wiem, czy to są utwory nowe, czy stare ?

- Czternaście nowych numerów. Tyle, że słowa zostały napisane dziewięć lat temu. Była nieco inna muzyka. Jeszcze ją trochę zmieniłem. Do niektórych numerów zrobiłem zupełnie nową muzykę, żeby to wszystko unowocześnić, zrobić bliżej tego swing revivel. A z drugiej strony mam teraz bardzo dobry zespół, który naprawdę swinguje. Kiedy weszliśmy do studia, to nie było kapcia; że najpierw sekcja, potem gitara, męczenie się, tego nie było. Razem graliśmy. Studio było podzielone, każdy odzielnie, słuchawki, nabicie, gramy. Nawet ja śpiewałem pilota przy mikserze. Do numeru "Taka przebojowa" jest dźwięk wzięty z pilota. On jest dobry, jest taki inny, a oni mówią: nie, my ci fajny dźwięk zrobimy, a ja: nie chcę, ja chcę to. Podobnie ze zgraniem, najpierw ja zgrałem to tak sucho, po czym oni mówią: nie, to takie niekomercyjne. Pojechałem jeszcze raz do studia, jeszcze dograłem coś i powiedziałem zróbcie jak chcecie. Ale jak posłuchałem, to mówię: nie. Przepraszam panowie, ja się cofam. Tak; jak miałem pierwszy pomysł, tak to ma być. Jestem producentem i jestem przekonany do tego brzmienia. I uważam, że to jest alternatywa i że to jest najistotniejsze, To walka z uniformizacją . Jak ktoś krzyknie, że tak, to wszystkie firmy brumm... Jak ktoś krzyknie: tu jest teraz szmalec. to wszyscy brumm. A muzyka to jest pejzaż. Niech każdy robi swoje, a ludzie sobie wybiorą. Nie można być uniformizowanym, a jeszcze przez producentów, którzy tak na prawdę nie są przygotowani do zawodu. U nas nie ma tradycji producenckich, to skąd oni mają to wiedzieć. To są ludzie z przypadku, którym się wydaje, że coś potrafią. Ja też nie jestem producentem innych. Jestem producentem siebie i to mnie cieszy. I niech na razie w Polsce tak jest. Niech dają wolę artyście jakim chce być. Bo on będzie na razie najlepszym swoim producentem. Bo jeszcze nie ma fachowców w tej branży. Takich, żeby wiedzieli, i umieli powiedzieć: tak jak ty grasz to może być, ale ja cię widzę tu i tu. I nagle ten facet jest zadowolony - o ty mi pomogłeś znaleźć moje ja. U nas się ogranicza, mówi: musisz tak i tak zagrać, bo to, co ty grasz, się nie sprzeda, tylko to co ja wymyślę się sprzeda. A skąd on wie ?

I jak ten klient już wymyśli, w takich firmach, tych wielkich, że on wie co się sprzeda, to on za tym idzie i żeby siebie podnieść na duchu, wali pieniądze w to, co wymyślił. I to nie swoje, bo jakby wiedział, że to jest jego wydatek, to by się zastanowił, ale to są firmowe pieniądze, więc wali i wbija ludziom, małolatom, że tak trzeba. A to co się u nas robi, to jest taka siódma woda po kisielu tego, co się robi w Stanach i w Anglii, tylko z poślizgiem dwu lub trzy-letnim.

Jeszcze raz podkreślam: dać muzykom, artystom, nawet tym młodym, szanse pokazania siebie, a nie ubezwłasnowolniać. Oczywiście jest przeszkoda materialna, ale mały nakład zawsze może sobie wydać. Ja na przykład nie mam żadnej płyty z Apokalipsą.

- Nie dało się wtedy zrobić?

- Niee. Gonili nas.

- A z Shakin' Dudie?

- Jest jedna płyta. Nazwałem ją "złotą" i stała się złotą, bo się sprzedała 150 000 i co najlepsze dyrektor tej firmy Sawitol umarł i nie wręczono mi złotej płyty. Więc dobrze że nazwałem ją "złotą", bo ludzie zawsze mówią: ze "złotej" płyty. Nie wiadomo, czy nazwanej "złotą", czy ona była złota. I myślę, że tak samo będzie z "platyną". Nazwałem ją "platyną" ze względu na zawartość. Jest tak dobrze grane i takie interesujące. Ze względu choćby na obecność Dudy Gracza (autor okładki). Zawartość płyty już jest platynowa, a sprzedaż będzie duża. Nie chciałbym, żeby się do tego przyczynili piraci. ale tam jest taki jeden greps, jest podany symbol nawet, w jaki sposób są zakodowane niektóre dźwięki na płycie, w takim nowym systemie amerykańskim, jak chcecie to zobaczycie.

- Antypiracki ?

- Antypiracki system.

- Ale czy to jest taki twój grepsik, którym nie podzielisz się z innymi?

- Na razie nie. Ale jak ta technologia się sprawdzi, to wtedy tak, podzielę się.

- Znakomita rzecz. Jeszcze zostaniesz bohaterem antypiractwa w Polsce, bo jak dotychczas, nikt nie wymyślił na to sposobu. Jak długo byłeś w Holandii?

- Dziesięć lat. Z tym, że ja tutaj przyjeżdżałem na Rawę.

- No właśnie. Pamiętam, kiedy pracowałem w EB, dzwoniłem do ciebie, bo chciałem, żeby EB było promowane na Rawie.

- Raz było, potem.

- No właśnie. Czyli ja też za wcześnie się zgłosiłem.

- Tak.

- A jak z muzyka stałeś się producentem?

- Nie można inaczej. Jeśli dasz siebie w ręce innym, to cię zjedzą. Wycisną jak cytrynę i wyrzucą. Nie ma u nas jeszcze tego przemysłu stricte rozrywkowego, bo kiedy on miał powstać? Te dziewięć lat wolności to jeszcze jest nic. My dopiero zaczynamy widzieć. Powstają niezależne firmy, tak jak Rawa Blues, czy SelleS, które sprzeciwiają się tym wielkim, takim jak Pomaton, Poligram, produkując coś, co może być alternatywą. Proponują rozszerzenie propozycji. I uważam, że tędy droga. Musi być jak najwięcej firm, różnorakich zespołów, stylów. Żeby człowiek mógł sobie wybrać. Wiadomo, jest oczywiście duże ryzyko, jak jest taka konkurencja, no to naprawdę ciężko. Ale trudno, to jest normalne. No, gdyby nie piractwo oczywiście,

ale normalna sytuacja stymuluje do pracy. A oszołomstwo stymulowane przez kombinactwo, przez kumplostwo, układowość szybko się kończy. Prawda zawsze wyjdzie na wierzch.

- Czym jest spowodowany twój powrót na scenę? Czy zatęskniłeś za estradą, czy dzieci musisz wyedukować ?

- Nie, głównie spowodowany jest tym, że chciałbym dać pewną alternatywę dlatego, co się w Polsce gra. Tak jak spróbowałem z Symfonic Bluesem i się udało, w zachodniej Europie. Grałem na festiwalu "Alternatywy" w Holandii, gdzie grała Bjork. Nie było żadnych kapel alternatywnych z Polski. Ciekawe, gdzie są ci producenci, te Pomatony, Poligramy, co mają niby takie układy. Dlaczego nie lansują, dlaczego nie proponują czegoś nowego? Albo są za słabi, albo mają za słabych artystów. Nie wiem, ale nie robią.

- Irku, bardzo się cieszę widząc, że czujesz się znakomicie, że nic się nie zmieniłeś, dalej jesteś urodzonym liderem, masz full power i dalej wszystkich ustawiasz...

- Power mi nie upadł, pomimo tego, że miałem wypadek i wszystko... Ale wiesz, czyste życie teraz prowadzę, od dziewięciu lat. To jest warte podkreślenia. To się wiąże z moją muzyką. Jestem wiarygodny, bo przecież byłem skalany alkoholem i choć nigdy nie ćpałem, doskonale wiem do czego nałóg doprowadza. Dlatego chciałbym dać alternatywę młodzieży, żeby ci młodzi nie musieli tyle przechodzić, bo nie każdy potrafi się ocknąć tak jak ja. Moja muzyka jest spójna z tym, czego poszukuje młodzież na zachodzie. Dlaczego nasi mają się o tym dowiedzieć dwa, czy trzy lata później. Róbmy to już teraz, ale nie tak, żeby uniformizować. Nie! Jeżeli ktoś poszukuje czegoś, jeżeli nie jest zadowolony z propozycji i nie ma sposobu na życie, niech spróbuje uwierzyć doświadczonemu Dudkowi. Niech przyjdzie na koncert, zobaczy normalne granie i za tym będzie widział kapelę, która nie jest na kacu, broń Boże po jakimś piwku, czysto, elegancko ubrana, nie wstydząca się tego. Ja tak samo, normalnie mówiący, nie rzucający żadnymi bluzgami ze sceny, “dobry wieczór Państwu, chciałbym Państwu...” , po polsku, nie odgradzjący się barierkami. Spróbuję nawet zejść do ludzi, o ile to będzie technicznie możliwe, ale chciałbym częstować ludzi poważną, przygotowaną sztuką, a jednocześnie z dużym luzem. Nienapuszoną: uważajcie teraz musicie mnie słuchać, bo musicie mnie zrozumieć. Nie! Jeżeli będziecie się bawić przy mojej muzyce to będzie największym sukcesem i satysfakcją.

- Ale młodzież musi się wyszaleć...

- A tak. Przy tym. Swing, to jest podstawowa rzecz w muzyce, o czym zapomniano pod koniec XX wieku. Teraz wali się w komputery i zapomniano, że maszyna nie swinguje i nagle się okaże, że wszystkie maszynowe produkty po dziesięciu, czy

piętnastu latach będą "be", do wyrzucenia. Jeżeli w muzyce jest swing to mówię ci, że ona jest poza modą. To jest muzyka, która działa na wszystkich, nie będąc chałturą i nie będąc muzyczką pod ludzi. Ja czynię taką muzykę, na jaką mam ochotę. Ale dużo rozmawiam z młodymi, z dziennikarzami, ze starymi, na temat tego co robię i wszystkim się to podoba. Nie ze względu na to, czy mnie lubią, czy nie. Jest wynik tego podobania na play listach. A jeszcze lubię takie rzeczy, jak spójność z Dudą Graczem, bo nie każdy ma to szczęście, żeby miał do czynienia z takim artystą, który bez pieniędzy zrobił mój portret, zgodził się na okładkę, zgodził się na wykorzystanie całej jego sztuki, do teledysku, który zrobił Rysio Czernow (ten od dwóch ostatnich teledysków Republiki), nominowanych do Oskarów, przepraszam do Fryderyków. Więc ja się obracam i zawsze się obracałem wokół ludzi dla których sztuka liczy się przede wszystkim. A nasza sztuka to jest sukces połowiczny, bo nie jesteśmy malarzami, żeby nas po śmierci docenili. Powinniśmy być docenieni za życia. Bo ja umiem uszanować ludzi sukcesu, nawet jeżeli widzę w tym coś komercyjnego. Komercja to nie jest coś co jest "be", co jest niedobre.

Komrecja dobrze pojęta jest wtedy, kiedy człowiek realizuje siebie i dzięki temu ma pieniądze, to ma szczęście, jakiego niektórzy nie umieją dosięgnąć. Jest tak: jak są pseudo-wielcy-artyści, to generalnie mówią: ludzie mnie nie rozumieją i dlatego jestem goły. Albo odwrotnie: ja taką wielką sztukę gram, że ludzie mnie nie zrozumieją, więc zrobię shit dla ludzi i mam szmalec. Obydwie formy są złe. Bo życie jest formą istnienia. Życie ma się jedno i trzeba realizować siebie. A potem trzeba być menadżerem i próbować twardo walczyć na tym rynku, uczciwymi metodami. Żadnej korupcji, żadnych przepłacań, że tam przyjdze, panie Janku, ja panu dam, niech pan mi popuści... Nie! Po prostu nie. Każdy dostaje swoje pieniądze. Nie ma żadnej zapłaty, że pan mnie wylansuje... Nie! Bo to się mści. Ile możesz tych radiostacji opłacić? Pełnym sukcesem jest, jeśli grasz w Warsazawie, pojedziesz do Pcimia Dolnego i tam ich radio też jest zafascynowane.

(Tu przerywa, aby zamówić jeszcze naleśniki).

- Z tym jeszcze nie umiem się opanować - ciastka. Moja żona powiedziała, że ja mam chorobę... brak kontroli, jak gadam to gadam, jak ćwiczę, czy pracuję, to dniem i nocą...

- Czasem to może być korzystne, szczególnie kiedy chodzi o sprawy damsko męskie - wtrąca, skwitowaną wybuchem śmiechu, uwagę Rysiek Czernow.

- Nie, nie, broni się Irek. Nie we wszystkim możesz być taki, bo fizjologia potem zadecyduje... jeść zawsze można. Notomiast innych rzeczy nie i tutaj pewnie nie jestem takim bojownikiem doskonałym...(śmiech)

- Przeszedłeś jakąś przemianę. Ale to nie było tak, że urodziły ci się dzieci i wtedy...

- Nie, nie, Wziąłem ślub i prosto było. Jeszcze ze dwa razy popiłem, po ślubie cywilnym, bo dla mnie się liczy ślub kościelny, kiedy przed Bogiem się przysięga, to już jest najważniejsze i już się nie da wycofać, przynajmniej dla mnie. No więc jeszcze z dwa razy popiłem po ślubie cywilnym, a Iwona mi mówi: jak chcesz żebyśmy byli razem, to musisz to rzucić. Z dnia na dzień. Proste. Zrobisz to? - Co za problem ? Buch, wyrzuciłem i koniec. I nie piję. I dlatego mówię ludziom, że na prawdę trzeba tylko chcieć. Że ja byłem naprawdę zszargany alkoholem. Mogło się wydawać, że już z tego nie wyjdę, że nie ma szans. Miałem to szczęście, że zawsze piłem za swoje, nigdy na pożyczkach, zawsze piłem z gestem...

- Tak, to pamiętam...

- Zawsze miałem gest i nigdy nie było pożycz, albo postaw, ale to nie znaczy, że to nie było groźne. Za to teraz mam dużo czasu, na różne rzeczy. Oczywiście nie biorę siedmiu srok za ogon. Robię tylko pewne rzeczy, bardzo konkretne, tak jak Shaking Dudi i napisałem coś dla Symfonii bluesa. Może za rok zrobię jeszcze coś innego. Ale wykorzystam te wszystkie nuty, które zostały zapisane, a jeszcze niezarejestrowane.

- Czyli Symfonia bluesa nie miała płyty ?

- Płyta była, jedna wydana w Niemczech, a na drugą już jest materiał, z WOSPR-em miałem nagrać. Nawet dla firmy, jednej z tych wielkich, którzy mnie zwodzili przez trzy miesiące, a potem powiedzieli, że nie. Nie zrozumieli o co biega. Nie wiedzieli, że Frank Zappa też chciał nagrać z WOSPR-em i nie dożył tego, a Dudek miał tę szansę. To czasami przekracza ich wyobraźnię. W każdym razie ten rok poświęcam na Shakin' Dudi, bo fajnie się gra.

- Duża kapela?

- Nie tym razem już bez big bandu. Jest taka zasada, żeby ten sextet grał jak oktet, jak nonet. Mój saksofonista gra równolegle na dwuch saksofonach, na sopranie i tenorze...

- Tak jak Kirkland?

- No, no, tylko inaczej trzyma. A oprócz tego czasami ja dokładam swoją harmonijkę i wtedy mamy "sekcję dętą", ale dziwną, śmiesznie brzmiącą, czasem skrzypce. Na przykład "Gdy wracam późno" takie trochę cygaństwo na skrzypcach, plus ten saksofon. Takie klimaty mnie interesują, a najistotniejsze jest, żeby ci ludzie, którzy ze mną grają mieli ochotę grać, bo to się czuje. A jak będę czuł, że to już jest mordęga dla nich i że grają, bo jeszcze kasa, to prawdopodobnie znowu rozwiążę. Żeby nie oszukiwać ludzi i siebie. Na razie mamy ochotę więc myślę, że zagramy z parę koncertów.

- Czy już przygotowujesz trasę ?

- Na razie nie, ale jestem otwarty na różne propozycje. Przygotowanie trasy teraz kosztuje straszne pieniądze, ale myślę, że zagramy parę fajnych koncertów. Toteż kiedy dzwonią do mnie i pytają: ile to kosztuje, zawsze mówię, że to jest dla mnie ostatnie pytanie. Najpierw musi zapytać, jaka aparatura wokalna, jaka oświetleniowa, jaka scena, czy zadaszona. Żeby nie było tak, że ja gram chałturę nie ze swojej winy. Może być tak, że my się przygotujemy, a jak jest zła aparatura, to ludzie dostaną zły produkt. A ja nie chcę złego produktu. Nie powinni muzycy wszędzie grać. Uważam, że powinni stawiać coraz większe wymagania. Przecież scena zadaszona z odpowiednim zapleczem i aparaturą jest tak naturalną rzeczą, że nikt nie powinien sobie wyobrażać że może być innaczej... No, w Polsce wciąż sobie to wyobrażają różni organizatorzy. Widziałem takie koncerty, gdzie koledzy grali na niezadaszonej scenie, a deszcz padał. A jak cię pieprznie od kabla, to kto twoją rodzinę utrzyma ?

- Masz dwoje dzieci ?

- Tak, dwie dziewczynki, Dorota i Agata.

- W jakm wieku ?

- Sześć lat i cztery.

- Na pewno super dziewczyny ?

- No jasne. Już robiły reklamówkę Rawy Blues. (śpiewa) "Rawa Blues festiwal, trzeciego października w katowickim spodku"... taki tekst miały.

- Czyli lubią atmosferę...

- No jasne, jak przejeżdżają koło Spodka to zaraz ryczą Rawa Blues. Dziewczyny fajnie mieć, bo bardzo lubią ojców. Ja nie pozwoliłbym sobie na uderzenie dziecka. To się może wydawać tak normalne, ludzie tak mówią, ale generalnie w Polsce jeszcze cały czas bicie jest normalne. Nie chcę, żeby broń Boże, moje dziewczyny przyzwyczaiły się do tego, że mężczyzna może podnieść rękę na kobietę. Jeżeli ja sobie na to pozwolę, to jakiś inny dupek będzie ją bił, a ona już będzie przyzwyczajona. A jeżeli ją ktoś uderzy, nawet po ślubie, to koniec. Ona odchodzi i już. Ja różne rzeczy o życiu mogę opowiedzieć. A jak ktoś nie będzie wierzył, to się przejedziemy w takie miejsce, gdzie Dudka jeszcze poznają i mogą powiedzieć: Panie, co ten Dudek tu narobił.

- A mama doczekała twoich sukcesów?

Doczekała. I bez bagażu obciążeń, co się z tym synem stanie, mogła umrzeć spokojnie. Ona się strasznie mną chwaliła. Rodzice zawsze mnie stawiali na piedestał, a przecież ja taki niedobry dla nich byłem, przez ten alkohol, ile krzywdy

wyrządziłem. Każdy rodzic to przeżywa strasznie. Przecież to tragedia, nie dla ciebie, ale dla rodziców. Ale jednak sam fakt mojego opamiętania się pod koniec ich życia był dla nich sukcesem, że jednak ciągle o mnie walczyli. Bo rodzic nie może poprzestać upominać, nawet gdyby musiał codziennie, musi konsekwentnie dążyć, musi wierzyć, że jednak w pewnym momencie dziecko się opamięta. Wiara na prawdę czyni cuda. Trzeba mówić nie łająć, nie wyrzucać z domu, bo jak wyrzuci człowiek dziecko z domu, to ono już jest na stracenie, bo to leci po równi pochyłej. Nie wolno czegoś takiego robić nie wolno zamykać drzwi przed dzieckiem. Każdy z rodziców powinien zerknąć wstecz, czy on był taki porządny jak karze dziecku. Trochę tolerancji, ale nie przeginać, nie tolerować pijaństwa, narkomanii. Tak jak moja mama powiedziała: po pysku wytrzaskać, a potem, ugotować kapuśniak na kaca i wtedy się użalić - dziecko co ty robisz ? A najpierw po pysku wytrzaskać i za włosy wytargać.

- Wszyscy się dziwili: chłop trzydzieści parę lat, pijany, patrzą, a tu buch, mama mnie za włosy trach, trach, a taka mała była nie? Wszyscy: Jak ty możesz sobie pozwolić ? A ja mówię : no właśnie, jak ja mogę sobie pozwolić przyjść pijany do domu ? Może byście to pytanie zadali, a nie, że moja mama mnie targa za włosy. A oni mówią: tyś jest "leber". A ja: nie, bo na mamę ręki nie podniosę. To są takie proste zasady, Im bardziej będziesz prosto myślał, blisko dekalogu będziesz żył, tym masz mniejsze niebezpieczeństwo, że ci się w życiu nie powiedzie.

- Miło jest widzieć, że po latach w dalszym ciągu jesteś optymistycznym człowiekiem...

- Trzeba być... Żyję pracą i to mnie cieszy. Można jeszcze dodać, że od 15 kwietnia będę podpisywał płyty po wszystkich Megastorach w Polsce...

- Dalej masz nieprawdopodobną siłę i ta sama energia została...

- Ty też ciągle masz ten sam miły uśmiech...

- (Śmiech) To miły akcent. Spotkaliśmy się tak dawno i to kumplostwo przetrwało...

- Trzeba pamiętać, że artystą się jest na scenie, ale w życiu prywatnym być “artystą” to jest żadna sztuka. Wygłupiać się, kombinować, udawać ważniaka, bez sensu. Wejdź na scenę, ukłoń się i zrób coś takiego, że ludzie będą ci bili brawo.

- To co teraz powiedziałeś to świetna rzecz na zakończenie.

- Dziękuję, coś mi się “spłętowało”.

- Przygotowałem różne pytania i okazały niepotrzebne. Wszystko sam powiedziałeś i tak sładnie...

- Ja to jestem taki Ślązak, tu coś powiem, niegramatycznie, czasami może nie do rzeczy ale, jak kiedyś powiedziała Iwona; tobie wystarczy wejść do studia, włączyć kamery, światła i od razu mówisz inaczej... Ja mam w domu na co dzień takiego krytyka, że nie jest lekko (śmiech).

No to zamykamy to pudełeczko... powiedziałem wyłączając magnetofon.

Marek Potempski

STENIA

SUPER BUSINESS WOMAN

Niewielu jest artystów, którym po latach przerwy w działalności estradowej udaje się z klasą i w dobrej formie odnaleźć w nowej rzeczywistości. Dwunastego marca w pięknie położonym na warszawskim Mokotowie Pałacyku Szustra STENIA KOZŁOWSKA dowiodła, że czas pracuje na jej korzyść. Znakomita prezencja, czarująca osobowość i ten głos...

Trudno nie zgodzić się ze zdaniem jednego z licznie przybyłych gości, iż mężczyźni dzielą się na tych, którzy kochają się w Steni i tych, którzy będą się w niej kochać. Pękająca w szwach sala koncertowa szczerym aplauzem nagrodziła jej porywający minirecital.

W znakomicie zaaranżowanej i zaśpiewanej wiązance przebojów zatytułowanej “Ech, wspomnienia" pojawiły się następujące evergreeny: “Szabadabada", “Ech wspomnienia", “Prócz nas nie ma nic", “A droga, ech Bóg wie gdzie", “Czy to walc", “Erotyk opus I", “Nie tęsknię za nikim", “Zawołam Cię", “Daj mi świat", “Do szczęścia blisko", “Tak woła się miłość", “Gdybym Ciebie nie poznał", “Les monts d'amour".

Perfekcyjny akompaniament zapewnił towarzyszący artystce niemal od początku kariery ANDRZEJ PŁONCZYŃSKI. Serdeczne uśmiechy i łzy wzruszenia towarzyszyły występowi gwiazdy. Wśród publiczności dostrzegliśmy między innymi innymi: Bogumiłę Wander, Edytę Wojtczak, Janusza Rzeszewskiego, Krzysztofa Baranowskiego. Prezes Selles Records, Tomasz Bielski podziękował artystce za miłą współpracę przy wydaniu jej najnowszej płyty kompaktowej. Stare i nowe przeboje z albumu pod nomen omen tytułem “SUPER BUSINESS WOMAN" (gwiazda wieczoru jest kobietą sukcesu nie tylko na niwie wokalnej, ale i wiceprezesem znanej sieci sklepów z odzieżą włoską) towarzyszyły wszystkim w trakcie promocyjnego bankietu po koncercie. Pani Stenia opatrzyła dedykacjami z autografem kilkadziesiąt krążków.

Jacek Wroński

Trzeba zabrać brzytwe tej małpie

"Jestem legalistą!" głosem uniesionym deklaruje Zbigniew Hołdys przy każdej niemal okazji. Cenię tę jego niezmienność niezmiernie, z jednym wszak zastrzeżeniem alias wątpliwością: czy legalistą może być taran bądź kafar (zwany także "babą")? Inaczej stawiając pytanie:

CZY LEGALISTĄ MOŻNA BYĆ TROCHĘ?

Czy, powiedzmy, osobnik kłamiący w dobrej - według własnego przekonania - sprawie jest jeszcze legalistą, czy już (za przeproszeniem uszu dam) relatywistą? A może (zakładając, że uszy dam są dalej zasłonięte) już tylko zwykłym dupkiem? No, no, czyżbyśmy się ciut zagalopowali...? Chyba jednak nie, choć przy całkiem potocznym, codziennym - powiedziałbym - słownictwie Zbyszka moje nieśmiałe wycieczki na rokendrolową (według małego Kazia) stronę świata jawią się być bukietami poprawności politycznej i wszelkiej innej...

Ad rem: czy wymachiwanie przez Sekcję Antypiracką ZPAV hasłem: "Walczymy z piractwem" usprawiedliwia działania niezgodne z prawem, kłamstwa, korupcję, prowokacje, oszustwa? Jeśli tak, to czy tylko to, czy usprawiedliwia także - na przykład - chamstwo? Albo - głupotę? W takim razie może także usprawiedliwiać kradzież, gwałt czy morderstwo... A kidnaping? Szantaż? Rozbój z użyciem niebezpiecznych narzędzi? Molestowanie seksualne i oszukiwanie w kartach? Siorbanie w towarzystwie? Kierowanie grupą przestępczą? Dłubanie w nosie? Używanie brzydkich wyrazów? A jeśli do tego wspomnimy mroki Inkwizycji z całą jej legalną przecież wonczas działalnością, jakże poszerzy się nam pojęcie "legalisty"! Pojawia się pytanie:

CZYŻBY BYT “LEGALISTY” OKREŚLAŁ JEGO ŚWIADOMOŚĆ?

Czy dla "legalisty" prawem jest to, co za prawo uznaje silniejszy bądź większy (z angielskiego: Major)? Albo - bogatszy? Czy prawo wg Zarządu ZPAV to "Kodeks Sponsora" zamiast K.K i K.P.C.? Tu dorzuciłbym jeszcze "Kodeks Honorowy", gdyby nie to, że pojęcia tego rodzaju w obrębie działań Sekcji Antypirackiej i Zarządu ZPAV nie występują nigdy. Sprawdziłem. W takim razie - gdzie szukać kresu możliwości działania "Brygady Antypirackiej" ZPAV i samego Zarządu Stowarzyszenia jako takiego? Czy uznają jakieś granice, których nawet pod pretekstem "walki z piractwem" przekraczać się nie powinno? Czy może mi na te pytania odpowiedzieć nasz Wybitny Legalista? Nie twierdzę, Boże broń, że

"BRYGADA ANTYPIRACKA"

czy ZPAV zdążyli już obciążyć swoje sumienia gwałtem na nieletniej albo zamordowaniem staruszki czy też odwrotnie, a jeśli tak, to raczej przez nieuwagę, niejako - przy okazji. Ja w każdym razie, jak dotychczas, o niczym takim nie słyszałem. Piszę o tym z pewną przykrością, trochę nawet z pisarskiego obowiązku, po to tylko, aby dobitnie ukazać, że z punktu widzenia Legalisty za jednako paskudne uznane być powinny zarówno malutkie kłamstewko jak i napad od tyłu z siekierą. Tymczasem mamy do czynienia z przedziwną erozją, rzekłbym: metamorfozą "legalizmu", zależną - jak się wydaje - od bytu (pisanego oddzielnie!) określającego, tak, tak - nieświadomość. Wyszło na to, powtórzmy, że u "legalistów" od byt określa nieświadomość. To by pewne rzeczy tłumaczyło. Nie do końca jednak. Polega ona - nieświadomość - na tym, że zauważamy wszystko tam, gdzie zauważać chcemy lub zauważyć jest nam wygodnie, oraz - na nie zauważaniu tego, co nie tylko leży tuż przed nosem, ale do tego potwornie śmierdzi, a czego odnotowanie byłoby nam nie na rękę.

Czy może istnieć legalista relatywny? Legalista wyłącznie w dni nieparzyste? Głupie pytania. Nie może. To,

W TAKIM RAZIE - KIM JESTEŚ, ZBIGNIEWIE HOŁDYSIE?

Nie widzisz wszak niczego złego w zamieszczeniu na swoich łamach ewidentnego kłamstwa, jakoby na "stadionie" zatrzymano 50.000 płyt Maryli Rodowicz. Ba, telefonujesz do Maryli i pytasz, co o tym sądzi. A co może sądzić? Jest oczywiście - i słusznie - oburzona. Tyle, że wcale nie zatrzymano 50.000 jej płyt. Nie zatrzymano nawet 5.000! Próbowałem dowiedzieć się prawdy - bez skutku. Wygląda na to, że nic takiego nie miało miejsca. No, może inaczej: skonfiskowano jakieś płyty na stadionie, może nawet było tam trochę płyt Maryli, ale cała reszta została przez kogoś wymyślona! Użyłeś autorytetu Maryli, aby wywołać tzw. społeczne oburzenie na "piratów" posługując się kłamstwem! A powołując się na źródło informacji, czyli p. Puczyńskiego, prezesa ZPAV i PolyGram zyskałeś wprawdzie wspólnika, ale nic poza tym: kłamstwo podzielone na dwa czy nawet więcej, pozostaje wciąż tym samym kłamstwem. Albo twoja nierzetelna, a wydrukowana na pierwszej stronie, nie sprawdzona informacja o "zamknięciu pirackiej tłoczni"? Do dzisiaj słyszę odgłosy zacierania różnych brudnych rączek po "puszczeniu w świat" tej jakże oczekiwanej informacji, tyle że znowu puściliście, koledzy, bąka. Znowu ktoś coś powiedział, a komuś nie chciało się sprawdzić. Ba, nie chciało się pomyśleć! Mógłbym skarżyć ciebie, drogi "legalisto" - redaktorze i bez wątpienia wygrać odszkodowanie, ale nie chcę przykładać ręki do plajty żadnej gazety. Wystarczy mi rzetelne sprostowanie. Na przykład: "Oświadczam niniejszym, że bezmyślnie powtórzyłem na łamach mojej gazety usłyszaną od Andrzeja Kozłowskiego/ Andrzeja Puczyńskiego/Andrzeja Kosmali /Piotra Kabaja(niepotrzebnych - skreślić) ze ZPAV-u informację, jakoby

firma Selles Records ... (i tu możesz spokojnie wymienić wszystkie kłamstwa, które na temat mój i mojej firmy zostały ci podrzucone). Ponadto - będę starał się myśleć i nigdy więcej nie powiem, że jestem "legalistą". (-)Podpis". No cóż, zobaczymy...

Powiadają "legaliści", że "w dobrej sprawie można kłamać, można nawet więcej", oraz "ja bym tych s... "piratów" powystrzelał" (cytuję z pamięci). A ja twierdzę, i mam na to dowody, że nie możesz być, Zbyszku, trochę w ciąży, tak jak nie możesz być trochę legalistą. Nie można być zarazem Europejczykiem i bolszewikiem. Bo przecież zaraz pojawi się pytanie:

KTO GORSZY: “PIRAT' CZY KŁAMCZUSZEK?

Takie to piękne rozważania cisną się pod pióro, po przyjrzeniu się z bliska działalności Sekcji - Brygady "Antypirackiej" ZPAV pod wodzą p. Kozłowskiego, jak wieść niesie, a sądząc po stylu i poziomie mu właściwym, niesie nie bez powodu - "milicjanta (czyli "organu") w stanie spoczynku".

Zanim przejdę do szczegółów - postawię tezy (po chwili namysłu odrzucam pomysł przybicia ich do wrót ZPAV...):

1.Brygada Antypiracka ZPAV powinna zostać zlikwidowana. W jej miejsce powinien zostać powołany zespół ekspertów, służący fachową wiedzą państwowym, a więc niezależnym organom ścigania: policji, sądom, prokuraturze. Tylko i wyłącznie - na ich życzenie. Natomiast zabronione winno być przeszkadzanie policji w pracy, zaglądanie i wchodzenie bez pukania do pokojów Komendy Policji na ul.Malczewskiego (Mokotów) oraz mówienie "cześć!" do Naczelników i funkcjonariuszy II Wydziału Kryminalnego KSP, nawet jeśli jeszcze niedawno tam się pracowało.

2.Fundusze, składające się na niezasłużenie wysokie wynagrodzenia (przekraczające wielokrotnie pensje policjantów), służbowe samochody zagranicznych marek, łączność, delegacje dla funkcjonariuszy "Brygady A/P" powinny trafić do policji w formie dotacji, sprzętu czy choćby wpłat na policyjne fundacje itp.

3.Wszelkie akcje propagandowe winny zostać ukierunkowane na wsparcie organów powołanych do przestrzegania prawa i praworządności. Nie dopuszczalne jest tworzenie atmosfery histerii wokół wybranych przestępstw oraz manipulacje propagandowe ocierające się o kłamstwa czy fabrykowanie dowodów. W szczególności zabronione (i karane) winno być kłamliwe bądź półkłamliwe donoszenie na własny kraj, jego władze i społeczeństwo do instytucji zagranicznych i międzynarodowych. (Patrz: przypowieść o ptaku, paskudzącym we własne gniazdo...).

Przejdźmy do uzasadnień:

Doszło otóż w naszym, ponoć praworządnym, kraju do sytuacji, że pięć zagranicznych firm po kryjomu dogaduje się, czego efektem jest powołanie własnej "policji", mającej chronić interesy wspomnianej piątki. "Policja" ta uzyskuje w sposób przedziwny uprawnienia równe, a w wielu przypadkach większe niż policja państwowa. "Policja" ta działa poza jakąkolwiek kontrolą organów Państwa. Działa na zlecenie niby społecznego stowarzyszenia ZPAV a jednocześnie - międzynarodowej organizacji - lobby IFPI w sposób charakterystyczny dla niektórych działań tzw. służb specjalnych! To ostatnie sformułowanie przytaczam za wypowiedzią prezesa ZPAV, p. Puczyńskiego na Walnym Zebraniu w dniu 13-go stycznia b.r. Czy uwierzycie Państwo? Mamy wywiad, kontrwywiad, UOP i Brygadę Antypiracką ZPAV, przy czym nie wiadomo do końca, która służba ważniejsza! Chociaż - co ja piszę! - wiadomo: trzy pierwsze jednak przed kimś za swoje działania odpowiadają. Ostatnia - przed nikim (chyba, że "kimś" będzie wspomniany wcześniej

"ORGAN W STANIE SPOCZYNKU"),

boć prezes Puczyński się publicznie od jakiejkolwiek kontroli odżegnał! Czy warto żyć w takim państwie, gdzie p. Andrzej Kozłowski ("o.w s.s.") wchodzi charakterystycznym dla siebie krokiem gdzie i jak chce, oraz zadaje charakterystyczne dla siebie pytania, zdradzające, że w ogóle nie ma pojęcia o sprawach, którymi się zajmuje ("Ta maszyna ma cztery grzałki", na co p. Kozłowski: "To co, wychodzą od razu cztery płyty"? Autentyk!). Byłoby to śmieszne, gdyby nie było groźne. A jest groźne, bo nasuwają się przypuszczenia, że z dawnych, dobrych lat pozostały naszemu "organowi" możliwości i znajomości na tyle skuteczne, że dzieją się rzeczy zgoła cudowne i nieprawdopodobne: na przykład na polecenie ZPAV-owskiego "organu w s.s." Minister Sprawiedliwości oraz Prokurator Generalny Trzeciej Rzeczpospolitej wraz z całym prawem i Kodeksami są publicznie ośmieszani czytaj: olewani! Bo jak tłumaczyć fakt, że skarga przesłana Ministrowi Sprawiedliwości i odesłana drogą służbową do Prokuratury Rejonowej powoduje natychmiastową restrykcję mającą "ukarać" skarżącego, czyli mnie (dla dociekliwych: Postanowienie w przedmiocie dowodów rzeczowych z dnia 12.02, sygn. Akt 3 Ds. 121/99/V - do wglądu na każde życzenie). Dodatkowo, Prokuratura Rejonowa Mokotów pismem z dnia 19.02.1999 r. w odpowiedzi na moją skargę do min. Suchockiej (swoją drogą niezmiernie - jako prawdziwego legalistę - amatora - ciekawi mnie zwyczaj, znany mi dotychczas z tzw. "woja", nieuchronnego odsyłania skargi do instancji, której skarga dotyczy. Gdyby chociaż tłumaczący się prokurator miał obowiązek poinformowania Pani Minister o swoich przemyśleniach. Nic podobnego!) ponownie próbuje mi wmówić (pismo do wglądu na życzenie), że zabezpieczenie dowodów polega na zatrzymaniu produkcji, oraz że ustnych poleceń wyłączenia linii produkcyjnej nie było, bo... nie ma ich na piśmie. Tym samym p.

Prokurator sugeruje, że p. Komisarz Policji, mówiąc, iż polecenie wyłączenia maszyn wydał prokurator ustnie, skłamała w obecności 5-ciu świadków! W tym - specjalnie na tę okazję sprowadzonego specjalisty od... wyłączania wtryskarek. Jeszcze lepszym pasusem jest fakt, iż w tym samym piśmie p. Prokurator stwierdza, iż "... zebrano materiał dowodowy m.in. w postaci ekspertyzy Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego K.G.Policji z dnia 22.12.1998 r. nr HE 3911/98, z którego jednoznacznie wynika...itd." tak jakby nie wiedział, lub nie pamiętał że w dniu 17-go grudnia 1998 r. inny prokurator tej samej Prokuratury pisał: "Postanowienie o zawieszeniu dochodzenia. (...) W chwili obecnej prowadzone są zagranicą szczegółowe badania mechanoskopijne zabezpieczonych płyt (...) Powyższe pozwoli (zwracam uwagę na fakt, iż wyniki badań są prokuratorowi znane przed ich uzyskaniem, ale to w tej sprawie normalne! - przyp. mój) określić, iż zabezpieczone "pirackie" płyty zostały wytworzone w wytwórni Selles Records". A dalej czytamy: "Mając na względzie długi czas oczekiwania na wyniki przedmiotowych badań, a tym samym stwierdzając, że zachodzi obecnie długotrwała przeszkoda uniemożliwiająca prowadzenie dochodzenia, przedmiotowe postępowanie postanowiono zawiesić do czasu uzyskania wskazanych ekspertyz".

CO MY TU MAMY? MAMY CYRK!

17-go grudnia prokurator dochodzenie zawiesza na czas dłuższy, w oczekiwaniu na zagraniczne ekspertyzy, a tu nagle "pstryk" - 21-go grudnia pojawia się ekspertyza rodzima, na którą nikt nie czekał, a te zagraniczne, "szczegółowe" przestają się liczyć! Nikt też nie przejmuje się jakimś "odwieszaniem" dochodzenia. Po prostu: 12-go stycznia (przerwa świąteczna, Sylwester, Nowy Rok - p. Kozłowski też człowiek!) do Selles Records przychodzi policja celem zatrzymania maszyn! Dodatkowo trzeba wiedzieć, że w przeddzień policyjnej wizyty jakiś "klient" z Jeleniej Góry usiłował za wszelką cenę zlecić nam wykonanie nielegalnych płyt, oferując "każde pieniądze". Odmówiliśmy. I oto nazajutrz zjawia się policja z kolejnym "Nakazem przeszukania pomieszczeń firmy". Kiedy pytamy, które pomieszczenia chcieliby przeszukać - stwierdzają, że ... przeszukiwać nie będą! Czy myślicie Państwo to co ja? Że wiedzieli, iż nic nie znajdą, że nie nabraliśmy się na prowokację, a więc nawet szukać nie próbowali? Ale to nie koniec cudów: czy zgadniecie Państwo, jak dowiedziałem się, że policja wybiera się do mnie? Z telewizji! Po prostu: na dwie godziny przed policją przyjechała do firmy ekipa telewizji POLSAT, żeby sfilmować... zamykanie fabryki! Ogłaszam błyskawiczny konkurs: kto zawiadomił POLSAT, że policja wybiera się do Selles Records? Jak to możliwe, że informacje operacyjne wydostały się na zewnątrz? Któż to, ach któż, ma takie wpływy na Mokotowie, że policja i prokuratura zwierzają mu się w tajemnicy na uszko? A gdybym tak rzeczywiście był "piratem" i został przyjazdem Telewizji

uprzedzony o przeszukaniu oraz zdążył schować wszystkie dowody zbrodni? Czy Państwo też widzicie ogromny cień "organu w stanie spoczynku" wiszącego nad tą tajemnicą? A tajemnica polegała na tym, że nazajutrz, czyli 13-go miało się odbyć Nadzwyczajne Walne Zebranie ZPAV, w trakcie którego obiecywałem postawić wniosek o odwołanie Zarządu oraz - w przypadku sukcesu - wniosek drugi, zgłaszający moja kandydaturę na Prezesa, w miejsce p. Puczyńskiego. I coś z tym p. Kozłowski zrobić musiał, t.j. trust ZPAV-owskich mózgów wydumał, że Bielskiego trzeba za wszelką cenę skompromitować, bo jeśli przeprowadzi swój plan, to - i tu mieli rację - p.p. Kozłowski, Kosmala i paru innych (wraz, co oczywiste, z p. Puczyńskim), wylecą na tzw. twarz oraz z posad! No i zrobił. Kazał maszyny wyłączyć, w telewizji opublikować i już! A policja, telewizja i prokuratura wykonali... Brawo!

Szanowna Pani Minister Sprawiedliwości i Prokuratorze Generalny! Bardzo Panią proszę nigdy więcej nie narażać się w mojej sprawie asesorom i prokuratorom prokuratury rejonowej na Mokotowie, ani też - Boże broń - Brygadzie A/P ZPAV z jej wszechmocnym szefem. Nie zniósłbym tego, gdyby dobrali się do Pani z mojego powodu i np. zarządzili przeszukanie Pani domowych pieleszy o świcie! Nigdy tego bym sobie nie darował! Spróbuję bronić się samodzielnie, wierząc w niezawisłe sądy...

Może źle robię, wyciągając wnioski, które Czytelnik winien wyciągnąć własnym rozumem.

WRÓĆMY WIĘC DO FAKTÓW.

Sprawa zaczyna się od wydania przez firmę SELLES Magazynu Muzycznego POP z płytą The Beatles "Yestarday and today" w listopadzie 1997 roku. Wydania ze wszech miar legalnego, zgodnie z Prawem Autorskim i każdym innym, z opłaconymi tantiemami dla autorów, podatkiem VAT i licencją od ZAIKS-u. W odpowiedzi zagrzmiało: otrzymałem list od Dyrektora Generalnego "POMATON EMI" (jakże wymowny jest ten cudzysłów, tłumaczący się wszak: "tak zwany", boć przecież Pomaton jest systematycznie "wsysany" przez EMI, ale o tym przy innej okazji), p. Piotra Kabaja, a w nim:"...żądamy odstąpienia od zamiaru wprowadzenia do obrotu, a ponadto protokolarnego zniszczenia całego nakładu...". Na moją odpowiedź, iż wydanie jest legalne, a ponadto - że proponuję firmie P/EMI współpracę w wydawaniu Magazynów - zagrzmiało jeszcze okrutniej: "idąc takim tokiem rozumowania, kojarzącym się z komunistyczną zasadą "każdemu według jego potrzeb" czekam na wysunięcie przez Pana postulatu...- to jeszcze ułatwi "ludowi pracującemu miast i wsi" dostęp do kultury. ...Pańską propozycję współpracy (...) pozostawiam bez komentarza".

Tu już każdy może zauważyć, że stało się nie tylko straszno, ale i smjeszno. Nie sposób było taką gratkę przepuścić, zacząłem więc polemikę, połączoną - cóż, trzeba się przyznać, bo wielu i tak się zorientowało - z mniej lub bardziej jawnym obśmianiem straszliwego zadęcia w jakie nieuchronnie wpada nasz rodak po zbyt gwałtownym awansie. Niektórzy twierdzą, że cała akcja z mojej strony podejrzanie pachnie im zasadą "awantura jest najtańszą formą reklamy i marketingu", w którą przeciwnicy dali się wpuścić... Pozostawiam ich - cwaniaczków - z własnymi podejrzeniami nie zaprzeczając, ale też i nie potwierdzając...

Nastąpiła chwila przerwy, jeśli nie liczyć audycji radiowych i telewizyjnych, artykułów i innych wypowiedzi członków Zarządu ZPAV (p.p.Kabaja, Kosmali i Puczyńskiego) oraz p. Kozłowskiego osobiście, odsądzających mnie i moją firmę od czci i wiary za pomocą pół i ćwierć-kłamstw w rodzaju: "Selles nie płaci tantiem autorskich" lub "Selles robi przekręt, polegający na nie płaceniu VAT" i takie inne, drobne przekomarzania. Sprawa Beatlesów - wydawało się - ucichła. "Przyznali mi rację" - myślałem - "Jednak prawo jest prawem"!

Aż tu 9-go grudnia 1997 roku przyszedł list i powiało wielkim światem: amerykańska firma prawnicza Dewey Ballantine, z biurami w: New York, Washington, Los Angeles, London, Hong Kong, Budapest, Prague, Warsaw, Kraków zwraca się do mnie, chudopachołka, tymi oto eleganckimi słowami: "Działając w imieniu naszych klientów - SONY Music Polska i PolyGram Polska(...)pragnę stwierdzić, że poprzez zwielokrotnienie i wprowadzenie do obrotu przez Selles płyt (...) określonych poniżej, doszło do naruszenia praw (...) zwracam się o niezwłoczne zaprzestanie (...) pojawiły się (cena detaliczna 6 PLN) następujące płyty CD wydane przez Selles z naruszeniem praw (...): "Wznieś serce" - składanka na rzecz powodzian, P.Bukartyk "Każdy ma prawo do orgazmu"- singiel CD, ONA "24 godziny po" - singiel CD, "Moja i twoja nadzieja"- singiel CD, "Muzyczne lato '97" - składanka (...) W tej sytuacji (...) żądam: natychmiastowego zaprzestania wprowadzania (...) zwielokrotniania (...)wycofania nie sprzedanych (...) przekazania informacji o ilości sprzedanych (...) do dnia 22 grudnia 1997 r."

Radość moja nie miała granic: czegóż więcej trzeba felietoniście, niż tak jawne podłożenie się przez przeciwników? Trzeba wiedzieć, że wszystkie wymienione płyty nasza tłocznia powielała legalnie, na oficjalne zlecenia SONY i PolyGram, a w przypadku "cegiełki", produkowanej w niedzielę, w trakcie słynnej imprezy pod Telewizją i dowożonej "jeszcze ciepłej" wprost na koncert, nawet otrzymałem płytę z odręczną dedykacją Pani Prezes SONY: ""Selles jest wielki! Dzięki!" Fakt - było za co dziękować. Ściągnęliśmy pracowników z domów i maszyny uruchomiliśmy specjalnie, produkując "po kosztach" tyle płyt, ile było potrzebne, aby impreza się udała.. I oto w kilkanaście dni później ci sami ludzie... poważnie każą mi zaprzestać

"piratowania" i sprzedawania po 6 złotych nie tylko cegiełki, ale i singli, rozdawanych przecież za darmo! Tu już nie dało się rzeczowo odpowiedzieć. Zaproponowałem więc (Czytelnicy świadkami), że w przypadku przedstawienia mi jakiegokolwiek dowodu moich rzekomych przestępstw, zobowiązuję się pokryć straty nie w przewidzianej przez ustawę trzy-, ale w dziesięciokrotnej wysokości. W przeciwnym przypadku - pisałem - żądam wpłacenia 600.000 PLN na Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Czy uwierzycie Państwo, że do dzisiaj nie mam żadnej odpowiedzi? Zrobili unik i nigdy więcej już o smakowicie brzmiącej firmie "Dewey Ballantine" nie usłyszałem.

I znowu zrobiło się cicho. Nareszcie - pomyślałem - sprawiedliwość zwyciężyła, a prawo okazało się prawem. Mam nadzieję, że dadzą mi wreszcie spokój! Dodatkowo, w tytule jednego z felietonów, udało mi się utrwalić imiona naszych dwu firmowych maskotek, nowofunlandów: Glorii i Grappy, a więc szczęście wydawało się pełne.

O ŚWIĘTA NAIWNOŚCI!

Gdyby tak udało się dotrzeć do tajnych protokołów zebrań i narad Zarządu ZPAV i jego Brygady z tamtego okresu! Czy w ogóle istnieją? Czy odnotowano te burze mózgów na temat: "Jakby tu tego Bielskiego, ten Selles załatwić!". Te rozkazy: "Słuchajcie, Kozłowski, to od czego wy tu jesteście!? Czego was tam uczyli? Po cośmy was z tej Komendy wyciągnęli? Za co wam, psiakrew, płacimy? Załatwić! Odmaszerować!" Może zresztą było zupełnie inaczej - teraz nie da się chyba odtworzyć... A może jednak... ktoś z uczestników tych działań zechce wykazać się obywatelską postawą (albo pomyśli, że "jutro może to ja będę "załatwiany" podobnie") i da mi - na przykład - oświadczenie w tej sprawie (pokrywam wszelkie koszty, pełna dyskrecja gwarantowana!), albo choć opowie, dla zwykłej mojej ciekawości: w jaki sposób i kto to zorganizował, że dnia 29 czerwca 1998 roku o godzinie 9,00 do naszej tłoczni, ale też w tym samym czasie do domu mojej żony wpadła Brygada A/P ZPAV pod dowództwem Andrzeja Kozłowskiego w towarzystwie 12-tu ciężko uzbrojonych policjantów (i policjantek) z Komendy Mokotów (obecnie - II Wydział Kryminalny KSP)? Dzierżyli w dłoniach "Postanowienie" Prokuratury Rejonowej Warszawa Mokotów (proszę Czytelników - i ew. organy kontrolne - o zwrócenie uwagi na powtarzający się echem Mokotów!) o treści następującej: "...zarządzić przeszukanie pomieszczeń mieszkalnych i gospodarskich należących do Tomasza Bielskiego w celu znalezienia płyt CD produkowanych bez wymaganego uprawnienia "Neu Bei Viva 998", Neu 15", "Neu 2", matryc, głowic i innych..." A tak wyglądało "Uzasadnienie": "W dniu 23 czerwca 1998 r. do tut. Prokuratury wpłynęły materiały z ZPAV w Warszawie, z treści których wynikało, że (...)Selles Records zajmowała się utrwalaniem i zwielokrotnianiem bez uprawnienia utworów cudzych (...) w celu dalszego (...) rozpowszechnienia."

Identyczne, tyle że z datą o trzy dni późniejszą "Postanowienie" nakazywało "przeszukanie pomieszczeń mieszkalnych i gospodarskich" Małgorzaty Bielskiej... Szkoda, że Państwo tego nie widzieli! Nie muszę mówić, że płyt, po które "antypiraci" przyszli - nie znaleźli. Przewrócili up side down wszystko, każdy kącik, z odpadami produkcyjnymi włącznie. Kozłowski (o.w s.s.) telefonował do kogoś non-stop i wiądł (jak to organ) w oczach. Policjanci (ci prawdziwi) ziewali, a jeden z nich powiedział: "Jechaliśmy do Pana po całe nakłady, tysiące "pirackich" płyt, które mieliśmy na pewno znaleźć. A tu nic!" Trochę sobie porozmawialiśmy, i wtedy po raz pierwszy usłyszałem:

"NIE DOŚĆ, ŻE TŁUSTE D...

wożą zagranicznymi samochodami, to jeszcze zarabiają po 30 - 40 milionów...! I wpuszczają nas w takie idiotyczne sprawy jak ta!"

To jest, drodzy Czytelnicy, cała prawda o stosunku ciężko i za marne grosze pracujących funkcjonariuszy policji państwowej do super-agentów Brygady A/P ZPAV. Podpisuję się pod tym obiema rękami. I wcale nie dziwi, gdy w "Życiu" czytamy: "Południowopraska prokuratura staje się adwokaturą, jeśli chodzi o sprawy nielegalnych płyt - twierdzi Andrzej Kozłowski, szef grupy antypirackiej Związku Producentów Audio Video. ...Zarzuty ZPAV są bezpodstawne - replikuje Julita Turyk, zastępca prokuratora rejonowego". Zwróćmy uwagę, że w tej sprawie Mokotów nie występuje, czyli - p. Kozłowski w dalszym ciągu jest bezczelny, ale gdy zabrakło znajomości z dawnych lat to nagle... prawo staje się prawem! Prokurator "ośmiela się" mieć inne zdanie niż p. Kozłowski, za co jednak zostaje przez niego surowo skarcony! Wypisz - wymaluj: Eliott Ness & Batman made in ZPAV!

Wróćmy do "przeszukania": zabrano z naszej firmy trochę odpadów z produkcji, trochę legalnie produkowanych płyt, i - tzw. lustro, czyli część formy, w której powstaje płyta. W gruncie rzeczy o zabranie tej właśnie części chodziło, bo w każdej linii produkcyjnej na świecie, oprócz modelu który ma firma Selles Records,

ZABRANIE LUSTRA POWODUJE ZATRZYMANIE PRODUKCJI.

Tak to sobie nasz "organ w s.s." sprytnie wymyślił, ale nie przewidział, że wyjęliśmy z szafy lustro zapasowe, i produkcja szła dalej. W efekcie - w dwa tygodnie później lustro zostało mi zwrócone (na tzw. przechowanie), a ZPAV-owski "organ antypiracki" przystąpił do ciężkiej pracy umysłowej: co dalej? Zostawmy go przy tym zajęciu. Potrwa dość długo. W tym czasie wróćmy do nasuwających się wniosków i spostrzeżeń: czy wyobrażacie sobie Państwo takie stowarzyszenie, które po cichu, za plecami, składa donos do prokuratora na własnego członka? Czy nie wydaje się wam właściwe, że w przypadku powzięcia jakichkolwiek podejrzeń należałoby takiego członka stowarzyszenia wezwać przed oblicze Zarządu i

powiedzieć: "Drogi Kolego, mamy podejrzenia, że działacie niezgodnie z przepisami. Podejrzenia te to:(...) Czy bylibyście uprzejmi wytłumaczyć się, bo w przeciwnym przypadku mamy obowiązek powiadomić prokuratora?". Prawda, jakie proste? Może miałbym szansę złapania nieuczciwego pracownika w mojej firmie? A może podałbym wystarczające wyjaśnienie, że zaszła pomyłka? Nie wpadli na to, biedaki. Ani Puczyński, prezes ZPAV i PolyGram Polska, ani Kosmala, dyrektor generalny ZPAV, ani Kabaj, koordynator akcji A/P, ani Staszewski, prawnik ZPAV, ani wreszcie Kozłowski, szef brygady A/P. A - sądząc choćby po nazwiskach - możnaby pomyśleć, że to przedstawiciele czegoś choćby zbliżonego do inteligencji... Równie ciekawym byłoby wiedzieć (o ew. informacje od posiadających je apelowałem wcześniej), jak też, tak ze szczegółami, doszło do złożenia słynnego donosu ZPAV-u na firmę Selles Records do prokuratury? Z informacji rozesłanej 16 lipca 1998 roku do członków ZPAV, a podpisanej przez p. Puczyńskiego dowiadujemy się jedynie, że: "Zarząd ZPAV informuje, iż w dniu 23 czerwca złożone zostało do Prokuratury Rejonowej Warszawa Mokotów zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w ramach działalności (...) Selles Records. Decyzję tę podjęto po głębokim namyśle (no,no, nie wątpię!) i wielokrotnej analizie wyników (...) działalności grupy antypirackiej ZPAV(...). Oto jego przebieg. Wiosną tego roku podczas rutynowych (czyżby ZPAV-owi znane były inne) działań na terenie Stadionu Dziesięciolecia policja(...) zatrzymała (...) różne CD. W sposób rutynowy (ach, wciąż rutyna! Zdradzacie się, chłopaki, tą poczciwością!)zwróciła się do sekcji antypirackiej o ocenę (...)legalności oraz wskazania pokrzywdzonych producentów(tak jakby wszyscy nie wiedzieli, że sekcja a/p bierze czynny udział w akcjach na stadionie, a zatrzymane płyty przechowuje we własnych magazynach. Jeszcze niedawno oferowałem ZPAV-owi pomoc w utylizacji tych płyt). Podczas tej oceny, a nadmieniam, iż takich ocen grupa antypiracka dokonuje setki w ciągu roku na terenie całej Polski, pojawiło się podejrzenie, iż niektóre z nich mogły zostać wytłoczone w jednej z tłoczni na terytorium Polski lub Czech.

I TU MAMY JUŻ CZYSTĄ POEZJĘ:

"pojawiło się podejrzenie". Panie Puczyński! Nie będę mógł spać ani jeść do czasu, aż nie dowiem się jak też to "pojawienie się podejrzenia" wyglądało! Czy Anioł zwiastował, czy może się przyśniło? Czy nie zręczniej było napisać: zgrabny donosik nagrano na automat zgłoszeniowy ZPAV? Baliście się, że głos da się rozpoznać? Boć przecież wypadało by dodać, że "rutynowo" przeprowadzono jednocześnie badania pozostałych tłoczni, wykluczając wszystkie poza Selles Records! Czy zobaczymy kiedyś taki dokument? Albo jakikolwiek inny, potwierdzający, że tego typu sprawdzania były prowadzone "setki" razy, przy większości "rutynowych" akcji? Że wciąż i wciąż okazywało się, że żadna z polskich ani czeskich tłoczni nie

produkowała znalezionego "rutynowo" na Stadionie "piractwa", aż tu nagle: bęc! - zgodziło się i złapano Selles Records! Bo jeśli takich dowodów nie ma, to znaczy, że było dokładnie odwrotnie: wydano polecenie stworzenia sytuacji takiej, aby można było oskarżyć i ew. zamknąć firmę Selles Records! Użyto nieformalnych wpływów w policji i prokuraturze, sfałszowano dowody lub też - złożono doniesienie bez dowodów. Jak było naprawdę, panowie "legaliści"? Ale czytajmy dalej:) W tej sytuacji, również w sposób rutynowy

(RUTYNA, ACH, RUTYNA, COŚ CHYBA PRZYPOMINA...)

zlecono (kto?) dokonanie badań specjalistycznych Centralnemu Laboratorium Kryminalistyki KG Policji (czy Państwo kojarzą, gdzie ta nazwa już raz się pojawiła) które w sposób ciągły współpracuje ze ZPAV (to zwykłe łgarstwo, p. Puczyński, jakże łatwe do udowodnienia! Po co Centralne Laboratorium miałoby być angażowane i ile to było razy w odniesieniu do dotychczasowych spraw? Niech pan przyzna, że po raz pierwszy, a więc nieudolnie, usiłujecie "wrobić" tłocznię płyt CD i przestanie robić durnia z członków własnego Stowarzyszenia a dupka z siebie!) i dodatkowo specjalistycznej firmie niemieckiej, posiadającej najnowocześniejszy sprzęt(...)

W wyniku wydanej ekspertyzy stwierdzono w sposób jednoznaczny, iż zabezpieczone na Stadionie płyty (...) zostały wykonane na (...) maszynie (...)Selles Records. Tak, tak, drodzy Czytelnicy! Już wiosną 1998 roku w sposób jednoznaczny p.Puczyński wiedział o wynikach ekspertyz, które potem przez przeszło rok, wielkim nakładem sił i środków Prokuratura i policja z Mokotowa usiłowały uzyskać, już to zatrzymując maszyny Selles Records, już to je włączając, już to zabierając lustro, już to oddając lustro, już to zabierając je znowu, już to zabierając pierścień, bo niektórym zdawało się, że to musi wreszcie tę maszyną zastopować... A w międzyczasie - zawieszając dochodzenie, bo wyniki z Niemiec nie przyszły, choć minął prawie rok od czasu, jak p. Puczyński je ogłosił jako pewne, wznawiając dochodzenie bez jego odwieszenia, uzyskując wyniki, o które nikt nie prosił za to w czasie, kiedy są potrzebne itd. itp... A wszystko to w pełnej świadomości, że sprawa toczy się wciąż ad rem a nie ad personam, oraz, że art. 227 kpk -kodeksu postępowania karnego - zawiera pouczenia, iż w każdym przypadku dotyczącym czynności związanych z prowadzeniem postępowania należy nie wyrządzać niepotrzebnych szkód i dolegliwości! I co? Pod tajemnym wpływem ZPAV-owskiej Wunderwaffe policja i prokuratura z Mokotowa postępują dokładnie odwrotnie! Niech ktoś normalny, najlepiej w imieniu omawianych tu resortów, powie mi - i moim Czytelnikom - jakie znaczenie dla "zabezpieczenia dowodów" mogło - lub może - mieć zatrzymanie maszyny w sytuacji, gdy części, które jako jedyne mają styczność z produkowana płytą są już oddzielnie i od dawna - "zabezpieczone"? W czym, na miły Bóg, pomaga

policji i prokuraturze fakt, że maszyna stoi, a w czym przeszkadza, że chodzi? Jeśli nie wiecie Państwo, co to znaczy niepotrzebna szkoda i dolegliwość wg. kpk to tu właśnie macie najlepszy przykład. Dla ciekawych podaję, że dzień przestoju maszyn w mojej firmie to strata ok. 20.000 złotych, które - na skutek czyjejś, nazywając rzecz b. delikatnie, niefrasobliwości - pokryjecie Państwo z własnych podatków! Zaiste, "legaliści", specjaliści, eksperci, się mnożą jak króliki... Czytamy dalej:

W tej sytuacji (...) ZPAV był zobowiązany do złożenia zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa na szkodę ZPAV (czy starcza Państwu cierpliwości? Czy jednak ZPAV, jako - wg własnego określenia - pokrzywdzony, nie powinien najpierw zamienić kilku słów z własnym członkiem? Czy też tak go to pokrzywdzenie męczyło, że nie mógł czekać ani chwili dłużej? Czy widzicie, drodzy Czytelnicy, ten poczet wspomnianych już dupków, usiłujących w sposób zarówno bezczelny jak nieudolny wytłumaczyć własne chamstwo?).

Od tego momentu wszelkie czynności w sprawie wykonywane są przez prokuraturę i policję. (Rękami prokuratury i policji, chciał pan chyba powiedzieć?) ZPAV na zasadzie rutynowej (O kurcze, znowu rutyna! Jak długo jeszcze?) działalności występuje w sprawie jedynie jako pokrzywdzony (czyli biedaczek, ale za to z dostępem do operacyjnych informacji, "pokrzywdzony" zamawiający "pasujące" badania w odpowiednich laboratoriach itp., opowiadający przy każdej okazji, że "Maszyna w Selles jest opieczętowana i nigdy już nie ruszy"! Czyż nie tak było, panie Kozłowski?) oraz jako organizacja, której pracownicy z racji posiadanej wiedzy specjalistycznej (i tu sięgamy szczytów osłupienia: mowa wszak m.in. o specjaliście - kretynie, który jak najpoważniej chciał w odtwarzaczu płyt CD słuchać płyty nie metalizowanej, przeźroczystej! Czyżby to ten sam "ekspert", który powziął podejrzenie, że to właśnie w Selles Records produkujemy znalezione na Stadionie "piraty"?

I tak możnaby jeszcze długo, bo wytężona praca umysłowa w obrębie Zarządu i Brygady A/P nie ustaje, czego dowodem skromny eksperyment, który przy okazji udało nam się przeprowadzić: w trakcie odblokowywania naszych maszyn (po 2 tygodniach przestoju, zażaleniach i interwencji u Pani Minister) okazało się, że mam ponownie oddać "do depozytu policyjnego" (pojęcie takie w ogóle w kodeksie postępowania karnego nie występuje! Dopuszczalny jest jedynie "depozyt sądowy". Kłaniam się wszystkim "legalistom"!) tzw. lustro, to samo, które raz już mi zabrano i raz - oddano. Oczywiście - oddałem. Przy okazji zgadało się, że obok lustra występuje tzw. pierścień, lustro to trzymający. Pani Komisarz, po usłyszeniu od nas, że pierścień mamy tylko jeden i zabranie go ponownie zatrzyma maszynę - zadecydowała, że go nie zabierze, a więc - postąpiła zgodnie nie tylko z zasadą "nie powiększania bez potrzeby szkód", ale i ze wszystkimi innymi zasadami. I słusznie -

wszak w nakazie prokuratora polecono zabranie wyłącznie lustra! Tak oto zarzuciliśmy wędkę...

Kto z Państwa zgadnie, co było dalej?

Oczywiście! Z chwilą, gdy informacja o tym, że zabranie pierścienia unieruchomi nam maszynę, dotarła do Właściwych Uszu - okazało się nagle, że zabranie pierścienia jest niezbędne, uzasadnione, konieczne i nie cierpiące zwłoki! Zbiegło się to - prawda, jak to wszystko pasuje? - w czasie z interwencją Pani Minister w mojej sprawie. Wydano kolejne postanowienia, wysłano kilku policjantów, ale akurat nie było mnie w firmie. Tak więc pierścień własnoręcznie i z pełną satysfakcją z udanego eksperymentu odniosłem następnego dnia do depozytu (znowu - policyjnego!), gdzie do dziś bezpiecznie, acz całkiem bez sensu spoczywa. Czy uwierzycie Państwo, że w kilka dni później, w trakcie inspekcji innej tłoczni, nasz "organ w s.s." czyli p. Kozłowski rzucił mimochodem: "Maszyny Selles Records stoją, i nigdy nie ruszą!". I tu się, biedak w s.s. pomylił paskudnie: kupiłem, panie Kozłowski, drugi pierścień i maszyna pracuje! A pan się fatalnie - i nie po raz pierwszy - sypnął! Bo skąd pan mógł wiedzieć, że pierścień zabrano? Albo - że zabranie pierścienia unieruchamia maszynę?

Tak oto wygląda "organ w stanie spoczynku" złapany we własne sidła.

I tu wreszcie, na zakończenie felietonu, mam okazję ponownie zaapelować do władz, odpowiedzialnych za zezwolenie na stworzenie kuriozalnego tworu, czyli "brygady antypirackiej" ZPAV: Szanowne, a nie znane mi bliżej Władze! Daliście się paskudnie nabrać! Pod pięknym płaszczykiem słusznych haseł stworzyliście okropnego bubla! A obecnie ponownie - w związku z pracami nad nowelizacją ustawy o prawie autorskim - jesteście manipulowani w ten sam sposób i w podobnych intencjach! Obudźcie się! Zobaczcie, kto najgłośniej krzyczy o potrzebie zaostrzenia sankcji, o nieudolności policji, o prokuraturze, która ma być "adwokatem piratów", o rzekomym "niepohamowanym rozkwicie piractwa": ten, który nie waha się składać niczym nie uzasadnionych donosów na własny kraj! Ten, który publikuje na całym świecie fałszywe dane o ogromnych ponoć stratach na skutek "piractwa" w Polsce. Ten, który bezczelnie oskarża własny, polski rząd, organy państwowe i nawet społeczeństwo przed międzynarodowymi instytucjami i światową opinią publiczną o kradzież bądź kradzieży tej sprzyjanie! Czyż nie taka jest prawda o powodach histerii "o prawie autorskim i prawach pokrewnych"? Bo przecież nie jest prawdą, że straty amerykańskich producentów fonograficznych w Polsce w roku 1998 wniosły 16 milionów dolarów, a producentów oprogramowania - 179 milionów, jak z upodobaniem powtarzają różne "tuby". Kto w miarę choćby przytomny uwierzy, że nasze biedne społeczeństwo ma rocznie do wydania 200 milionów dolarów na

muzykę i gry komputerowe z samej tylko Ameryki, ponad to, co i tak wydaje? I że ta właśnie kwota trafiła w 1998 roku na Stadion Dziesięciolecia zamiast zasilić puste sakiewki zrozpaczonych EMI, PolyGram, BMG, SONY, WEA czy - Billa Gates'a! A do tego jeszcze straty całej Europy ! Australii i Nowej Zelandii! Japonii! Rodacy, podobno ukradliśmy tyle, że jesteśmy najbogatsi na świecie! Gdzie to wszystko jest? Ludzie! Władzo!

Kto i jak zrobił wam aż taka wodę z mózgów?!

Dlaczego w tej jednej sprawie rozum śpi? Czy sprawą najważniejszą dla naszej racji stanu jest to, żeby płyta kompaktowa w roku 2000 kosztowała nie mniej niż 80 złotych? A może przyjmijmy "na wyrost" - 100 złotych za płytę CD? Od jutra! Bez czekania na jakieś tam przyjęcie nas do Unii! A co, Polak potrafi jak się zezłości! Niech się, biedulki, nachapią! Bo przecież o to w tym wszystkim chodzi, jakby ktoś z Państwa jeszcze nie wiedział: O forsę! Money! Diengi! Dziadźki! Szmal! Kasę! P i e n i ą d z e ! O miliardy dolarów, funtów, marek, złotych...!

Czego Wam i sobie życzę w ilościach nieograniczonych, z zachowaniem jednak podstawowych zasad przyzwoitości...

P.s. Wiadomość jeszcze ciepła:

P.Kozłowski wraz z Brygadą dokonał kolejnego, identycznego najazdu na innego członka Stowarzyszenia Niezależna Fonografia Polska, firmę "Silesia Digital Records" z Wrocławia. Efekty, które osiągnął są równie kompromitujące zarówno dla niego, jak i dla ZPAV-u, a w efekcie - całej "akcji antypirackiej". Metody, które zastosował nasz "o. w s.s." były jeszcze bardziej chamskie, niż w przypadku warszawskim. (Np. bezczelne rysowanie przez K. płyt, znalezionych w czasie rewizji w prywatnym mieszkaniu. Kiedy właściciel zareagował tak, jak każdy z nas chciałby zareagować w podobnej sytuacji, czyli oznajmił Kozłowskiemu: " Jeśli jeszcze raz zrobi pan coś takiego, to panu przypii...pii..pi...!. Na to K. zaczął piszczeć do towarzyszących mu policjantów: "Słyszeliście, chciał mnie uderzyć!". Na co policjanci: "Nic nie słyszeliśmy...!" Brawo, policja wrocławska!). Więcej na ten temat w innym miejscu naszej "F".

Tomasz Bielski

FONOPLOTY i FONOFAKTY

na stronie: | ze swiata | z półświatka | z kraju |

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA:

Donos & od nos. Korespondent "G.W." donosi z Brukseli: "Liczcie się z muzyką"

Europejski przemysł fonograficzny zatrudnia bezpośrednio 300 tys. ludzi (pośrednio - dwa razy tyle) i płaci rocznie 2 mld euro podatku VAT, który płynie do kas poszczególnych rządów. Fonografia jest największym "przemysłem kulturalnym" Unii, któremu nie pomaga się żadnymi dopłatami. Przychody ze sprzedaży płyt kompaktowych i kaset wynoszą 12,7 mld dol. Rocznie i są trzy razy większe niż z produkcji filmów oraz dwa razy większe niż w przypadku kaset video. (JAP).

Jest o co powalczyć i jest czym się dzielić. Dla porównania warto mieć świadomość, że cały ten krzyk, całe to straszenie i opluwanie Polski jako kraju "niepohamowanego piractwa", te wnioski o wpisywaniu nas na "czarne listy" formułowane przez domorosłych bojowników o forsę, dotyczą i tak z sufitu wziętej kwoty strat "Wielkiej Piątki" w Polsce w wysokości ok. 16 mln dolarów. Czyli - ok. jednego promila przychodów europejskiej fonografii. Około 20 razy tyle (czyli 2 %) daje się przy jakiejkolwiek działalności na tzw. rozkurz, a każdemu powyżej kierownika działu w "Majors" czasem i dwa razy więcej jako zwykłą odprawę.

Nic więc dziwnego, ze rotacja na wysokich stanowiskach z roku na rok coraz szybsza i trudno za nią nadążyć. Tylko z ostatniej chwili:

Roger Ames (były No 1 PolyGram. Były, znaczy się odprawę już skasował) ma zostać No 1 w Warner Music International. Kłopot z tym, że tam szefem jest Stephen Shrimpton, póki co. Stąd ból głowy u Ramona Lopeza (Warner Music Int.Chairman/CEO, cokolwiek by to nie znaczyło), ale bez paniki. Ames przyjdzie, Shrimpton zostanie "vice" albo sobie pójdzie do np. EMI, inkasując po drodze skromne US$ ca 20 milionów na otarcie łez. Przy okazji dowiadujemy się, ze Ames ma kontrolny pakiet London Records (do niedawna część PolyGram-u, a jakże), które włączy do Warner M.I. na czas swojego tam pobytu. Z krótkich notek dowiadujemy się też, że wcześniej panowie Ames i Lopez pracowali w EMI Records (lata 70-te), potem Lopez zarządzał PolyGramem, a Ames - Phonogram Records, do czasu aż zajął miejsce Lopeza w 1996-ym.

Mr Zumkeller opuszczajacy Warner Europe otrzymał tylko US$ 5.000.000 jako odprawę. Podpadł Kosmali?

A co słychać u EMI? Otóż nowym szefem zostaje Eric Nicoli, aktualnie dyrektor United Biscuits. Za skromną sumę US$ 840.000 pensji podstawowej będzie pilnował, żeby się nie lenili dotychczasowi dyrektorzy: Ken Berry i Marty Bandier. Jego poprzednik, Sir Colin Southgate (dawniej robił w finansach), za ostatni rok kontraktu, którego już nie będzie musiał odpracować, otrzyma jednak swoje US$ 1.280.000. To miłe. Lubimy takie krótkie, zgrabne kontrakciki. Sir Colin zastąpił na stanowisku Jima Fifielda (dawniej przemysł spożywczy) w roku 1997. Jeszcze milszą wiadomością jest, że Eric Nicoli już raz był dyrektorem w EMI od 1993-go roku.

Choć nie wszystkie kwoty odpraw podano, zaryzykuję małą deklarację: Ludzie, jak ja bym lubił żyć z takich odpraw... Jak ja bym chciał być tak zwalniany i przyjmowany, i zwalniany, i przyjmowany...! Co dwa lata, albo nawet co rok. I tak aż do 12,7 mld dolarów rocznie! There is no business like... A u nas? Staram się wywalić Puczyńskiego ze stołka wyłącznie dla idei, a on być może, jeśli mi się uda, skasuje US$ 20 milionów odprawy. I wszyscy powiedzą, że się tym dzielimy! Boże ZPAV!

Płyta "ABBA PATER" na liście "The BILLBOARD 200" wciąż w górę. 17 kwietnia - nr 175. W rubryce: Artist czytamy: POPE JOHN PAUL II! Gratulujemy i czekamy na NUMBER ONE! **Z ostatniej chwili**: album wycofano z rankingów na świecie. U nas nie. .

do góry

WIADOMOŚCI Z PÓŁŚWIATKA:

Wzwody i upadki: Rozdano "Fryderyki" '98. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami wygrało EMI. Uzgodniono też, że w roku przyszłym kolej na BMG. Nagrody Tymona i Pumby otrzymują: Tymon - za nie owinięcie całokształtu w bawełnę. Pumba - Agnieszka Chylińska - za wyczucie humoru, czyli"...lubię potrzymać w ręku coś co przypomina...mikrofon."

Piractwo zlikwidowane! Piractwo w Polsce zostało lub też za chwilę zostanie zlikwidowane! Piszemy o tym w trybie częściowo warunkowym, bez dogłębnego sprawdzenia radosnej wieści, ponieważ chcemy być - jak zawsze - pierwsi. Nie wyobrażamy sobie poza tym, aby ZPAV nie złożył jeszcze doniesienia do prokuratury o popełnieniu przestępstwa w postaci informacji o "nielegalnym powieleniu i wprowadzeniu do obrotu z chęci zysku płyt "Abba Pater" (SONY) i "Goran Bregowic z Kayah"(BMG). Jak wiadomo, płyty te pojawiły się na Stadionie w dniu oficjalnej premiery, co na tyle zawęża krąg podejrzanych, że ich osadzenie w odpowiednich celach jawi się dziecinną igraszką. Jeśli jednak są jakieś problemy i p. Kozłowski z Brygadą Antypiracką ZPAV niczego jeszcze nie załatwili, przypominamy, że zgodnie ze słowami Prezesa Puczyńskiego ZPAV ma

OBOWIĄZEK zawiadomić prokuraturę o przestępstwie, o którym się dowiedział. Jeśli ZPAV-owi niezręcznie, deklarujemy koleżeńską pomoc: jesteśmy gotowi takie doniesienie złożyć! Po koleżeńsku też poprosiliśmy nasz Zespół Ekspertów o opinię. Oto ona: jeśli płyta ukazała się w wersji pirackiej równolegle z oficjalną premierą, znaczy to, że nastąpił przeciek i kradzież nagrań w czasie od zmiksowania płyty w studio do ok. czterech dni przed oficjalną premierą. Tak więc osobami, które miały dostęp do nagrań i możliwości, aby je nielegalnie skopiować są następujący pracownicy firm SONY i BMG: a) producent płyty, b) kierownik zmiany lub operator linii w firmie produkującej glassmaster (matrycę) płyty, c) j.w. w firmie tłoczącej płytę (obie firmy zagraniczne - tu raczej nie widzimy podejrzanych), d) kierowca wiozący płyty do Polski.

Jeśli kierowca przywiózł wszystkie płyty, które mu załadowano, następni podejrzani to:

e)magazynier w firmowym magazynie lub f) osoba ze ścisłego kierownictwa, która może dysponować płytami: pobierać z magazynu i ew. rozdawać w celach promocyjnych.

Uwaga dla komisarza policji: Dodatkowo warto zwrócić uwagę na pracownika, który zadecydował, aby nakład przywieźć do Polski na tyle dni przed premierą, żeby starczyło czasu na wyprodukowanie "piratów", tj. min. 4 dni.

I dalej już według sprawdzonego schematu a'la Kozłowski (szef grupy antypirackiej ZPAV): po pierwsze zawiadomić prasę, radio, telewizję o złapaniu pirata, po drugie: rewizja w firmie, rewizja w domu, po trzecie: przymknięcie delikwenta na parę godzin i po sprawie.

Natomiast, żeby całkowicie zlikwidować piractwo - po zapowiedziach następnych atrakcyjnych premier obstawić wejścia i wyjścia odpowiednich Majors. Dla przykładu: spodziewana premiera nowego krążka "Hey" - obstawiamy na 5 dni przed premierą PolyGram i sprawdzamy teczki i torebki. Nowa O.N.A. - to samo robimy w SONY. Zresztą - po co podpowiadać fachowcom... Ważne, że piractwo wreszcie padnie!

Opony mózgowe. W piątek po południu pod oknami PolyGram (obecnie Universal) na ul. Jagiellońskiej, w charakterystycznym błękitnym Pontiacu Grand Prix prezesa Bielskiego ktoś przekłuł oponę. Czyżby spór ZPAV - Niezależna Fonografia Polska dotyczący prawa autorskiego i kultury jako takiej przeszedł w nowy, jakże emocjonujący etap?

Spłukiwanie Hołdysa Urbanem. Przeczytaliśmy kolejny numer Ultra Szmaty.

do góry

WIADOMOŚCI KRAJOWE:

Małpa z brzytwą nieustająca.

Według sprawdzonego schematu: najpierw wpadniemy, a potem zobaczymy co się znajdzie p. Kozłowski wraz z Brygadą "wpuścili" Wydział Kryminalny Policji we Wrocławiu w kolejne "maliny", nasyłając ich na tłocznię Silesia Digital Sound. Zaprezentowano zwykły, pełny repertuar bezprawia, chamstwa i zwykłej niekompetencji, czyli - normalnie. Jak zwykle znaleziono i "zabezpieczono" legalne płyty. Jak zwykle bezprawnie wyłączono maszyny. Jak zwykle w sposób ordynarny informowano pracowników zgłaszających się do pracy, że "firma zamknięta i już tu nie pracują". Jak zwykle napuszczono lokalne media. (*na marginesie: Koledzy dziennikarze wrocławscy, wstydźcie się! To, co mówiliście w lokalnych rozgłośniach, napisaliście w prasie, pokazaliście w TV jest w 99-ciu procentach nieprawdziwą, krzywdzącą niewinnych ludzi manipulacją! Który z was choćby próbował porozumieć się z bezprawnie zatrzymanym prezesem Silesia Digital Sound? Skąd u was to zacietrzewienie, to zadęcie? Gdzie rzetelność? Kupili was? - nie chce mi się wierzyć! W Warszawie dziennikarzy kupić się Majors-om nie udało. No, powiedzmy, większości warszawskich dziennikarzy...*). Jak zwykle próbowano po fakcie coś dorobić, żeby uzasadnić bezprawne działania. I - jak zwykle - obnażono własną głupotę i niefachowość: w tym przypadku "wykryto" nadwyżki legalnych płyt, wytłoczonych ponad opłacone licencje na rzecz ZAIKS, a kilku durni nazwało to "piractwem". Za takie płyty, panowie "antypiraci" ze ZPAV, wystarczy tantiemy opłacić. Czasem robi się to przed (i tak jest b. elegancko), a czasem - ze względów technologicznych - po (to jednak nie przestępstwo, a jedynie "naciągnięcie" warunków licencji). ZAIKS nie dał się - oczywiście - nabrać na waszą interpretację. Obecnie Silesia ma całość swojej produkcji opłaconą i w pełni licencyjną. I co, znowu p. Kozłowski z ręką w nocniku? A razem z nim: Prezes, Zarząd i ZPAV jako całość odpowiedzialni za próbę zniszczenia kolejnej polskiej, legalnej firmy. Jak długo jeszcze? Kto następny? Pytanie to w trybie prawa prasowego kierujemy, z prośbą o wyjaśnienia, do: KG Policji, MSWiA, Ministra Sprawiedliwości i Ministra Kultury. Jak długo jeszcze działająca bez podstaw prawnych Brygada Antypiracka ZPAV będzie bezkarnie hasała ponad prawem?/p>

Strzały z Hołdysa. Hołdysem (marzec '99) próbowano wykonać charakterystyczną dla Wielkich Międzynarodowych Koncernów Fonograficznych dintojrę na Robercie Leszczyńskim, dziennikarzu Gazety Wyborczej, pierwszym laureacie nagrody "Janosika", przyznawanej przez stowarzyszenie Niezależna Fonografia Polska dziennikarzom, wykazującym się wybitną niezależnością. Dla jasności wiadomość z pierwszej ręki: osobiście jak też przez osoby trzecie uzgadniałem z p.p. Tarkowskim,

Weissem i Kleyffem, czyli Salonem Niezależnych, że wręczą naszą nagrodę. Ustalono, że w imieniu całego Salonu zrobi to Tarkowski, ponieważ Weiss ma w tym czasie audycję w ZET-ce, a Kleyff jedzie na szyszki (trzymaj się mocno, staruszku!). Przed wyjazdem wpadł na konferencję prasową do Sheratona po zaliczkę, nie wiążącą się w żaden sposób z całą sprawą. Zrozumiano? No to odszczekać!

Dear Mr President.

W imieniu grupy osób z kręgów show biznesu i kultury SNFP wystosowało list (tłumaczenie na język amerykański - oczywiście - Lonstar) do prezydenta USA Billa Clintona z ostrym protestem przeciwko manipulacjom i oszczerstwom ze strony organizacji sterowanych przez Majors, a mającym za zadanie umieszczenie Polski na tzw. czarnej liście. Skutkowało by to różnymi restrykcjami, wysoce dla Polski niekorzystnymi. List rozesłaliśmy do wielu redakcji i stowarzyszeń w całym kraju oraz do redakcji Billboard, Music Week i innych. W sposób wysoce delikatny przypomnieliśmy w nim nasze, Polaków, zasługi (wywiezienie agentów CIA z Iraku), wspólne osiągnięcia (obalenie komunizmu przez Jana Pawła II i Ronalda Regana), oraz ich "wpadki" (Ted Turner o Papieżu). Będziemy informować na bieżąco. Z przedostatniej chwili: żaden z polskich adresatów nie raczył się choćby zająknąć o naszym proteście. Lista w następnym numerze, wraz z odpowiedzią Białego Domu. Z ostatniej chwili: A jednak Polska nie znalazła się I-ej lidze pirackiej (obok, m.in. Włoch), a spadła do II-ej (z Czechami i Koreą Płd.). Prezydent dostał nasz list?!

Scena Country. Witamy "na pokładzie" wydawnictwa Selles nowy, fantastyczny Magazyn Muzyczny "Scena Country", wspólne dzieło m.in. Lonstara i Włodka Przygody. W kioskach od 15 maja '99. Nie przegapcie!

Kleine aber nette... Ponownie słychać, że Kosmala ma polecieć, a Puczyński szykuje sobie miękkie lądowanie. Podajemy powyższe na cudzą odpowiedzialność.

Hologramy: po raz kolejny sprawdziliśmy, że hologramy Stowarzyszenia Niezależna Fonografia Polska są nie tylko tańsze, ale i równie ważne i legalne jak hologramy ZPAV. Jakiekolwiek zmuszanie do stosowania wyłącznie jednych bądź drugich jest sprzeczne z prawem i prosimy o informacje w przypadku zetknięcia się z takimi praktykami.

Gołąbek donosi. Gołąbek w dzióbku przyniósł nam kserokopię "instrukcji" dla celników, doręczonej przez Kozłowskiego ("Ober" antypiratów ZPAV) na wszystkie przejścia graniczne. Wynika z niej, że płyt importowanych przez Majors nie należy w ogóle kontrolować, za to z możliwie przesadną starannością należy kontrolować wszystkich innych. Sprawą tą zajmiemy się szczegółowo w następnym numerze "Fonosfery". Obiecujemy krwisty kawałek.

Jak hartowała się stal. Zarząd i Komisja Rewizyjna ZPAV spełniły marzenie Tomasza Bielskiego (Selles Enterprises), tym razem próbując wykluczyć go jako członka wspierającego ze ZPAV. Dzięki temu, zgodnie ze statutem oraz złożonym odwołaniem, obszerna dyskusja nad tą sprawą odbędzie się na najbliższym, wyborczym zgromadzeniu ZPAV. "Będzie ***i smjeszno i straszno"***, mówi Tomasz Bielski. "Liczę na przybycie wszystkich członków ZPAV, burzliwą dyskusję, w której przedstawię całość kompromitujących "osiągnięć" obecnego Zarządu, a w następstwie - wybór całkowicie nowych władz."

Lista bestsellerów (najlepiej sprzedanych fonogramów) ZPAV z marca 1999 r. zawiera na 100 pozycji: 28 razy POMATON EMI, 19 razy POLYGRAM, 19 razy SONY, 18 razy BMG, 10 razy WARNER MUSIC oraz: 2 razy SNAKE'S MUSIC, 2 razy NEW ABRA, 2 razy READER'S DIGEST. Wynik meczu MY - ONI: 94 do 4 przy 2 (Reader's D.) wstrzymujących się. Są pytania?

do góry

Stowarzyszenie Niezależna Fonografia Polska

na stronie: | List otwarty | Prawo i sztuka | List do Prezydenta Clintona |

Warszawa 10. 05. 1999

Do wszystkich zainteresowanych.

Stowarzyszenie Niezależna Fonografia Polska, działające na podstawie wpisu do rejestru stowarzyszeń prowadzonego przez Sąd Rejestrowy w Warszawie pod numerem RST 3493, zaświadcza co następuje.

Firma Selles Records jest członkiem zwyczajnym Stowarzyszenia. Działa ona w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością i wpisana jest do Rejestru Handlowego w dziale B Nr 47323. Przedmiotem działalności spółki jest m.in. działalność produkcyjna i handlowa w zakresie płyt kompaktowych i innych nośników dźwięku.

Ponadto, na mocy koncesji Nr 127\FV wydanej przez Ministra Kultury i Sztuki w dniu 16 grudnia 1996 firma Selles Records uzyskała prawo do dokonywania przenoszenia zapisu dźwięku lub dźwięku i obrazu. Koncesja wydana jest na czas nieoznaczony.

Nośniki dźwięku produkowane bądź znajdujące się w dystrybucji firmy Selles Records są wprowadzane do obrotu zgodnie z przepisami Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych z 4 lutego 1994 (Dz.U. 1994 nr 24 poz 83 z późn. zm.). W szczególności uregulowane są odpowiednie opłaty z tytułu tantiem.

Używane przez członka Stowarzyszenia hologramy z napisem "Stowarzyszenie Niezależna Fonografia Polska" i zamieszczonym logo SNFP są w świetle obowiązującego prawa legalne. Podkreślić należy korespondujące z tym faktem stanowisko Departamentu Prawa Autorskiego i Praw Pokrewnych Ministerstwa Kultury i Sztuki (DPA 024\399\97), iż podmioty fonograficzne są uprawnione do dokonywania wyboru, czy stosować hologramy, oraz w przypadku odpowiedzi twierdzącej, jakie hologramy. Podmiot nie będący członkiem ZPAV nie jest zobowiązany do stosowania przyjętych przez ten Związek hologramów.

Wszelkie przejawy dyskryminacji legalnych nośników dźwięku produkowanych bądź dystrybuowanych przez członków naszego Stowarzyszenia, bądź hologramów SNFP, stanowią pogwałcenie zasady swobody obrotu gospodarczego i uzasadniają interwencję naszego Zespołu Prawnego w trybie Ustawy o ochronie konkurencji i konsumenta oraz skierowanie pozwu do sądów powszechnych na drodze postępowania cywilnego.

Osoby i instytucje, które zetkną się z praktykami, o których mowa wyżej, prosimy o możliwie pilne powiadomienie naszego Stowarzyszenia celem podjęcia stosownych działań uniemożliwiających działania niezgodne z prawem. W szczególności prosimy o informacje o "zakazach" sprzedaży, rozpowszechniania w mediach i innych nielegalnych praktykach w stosunku do członków Stowarzyszenia "Niezależna Fonografia Polska" bądź ich produktów wraz z dokładnym opisem zdarzenia. W ten sposób przyczynicie się Państwo do upowszechnienia swobody handlu i rynkowych reguł w obrocie gospodarczym w Polsce.

Rada Naczelna
Stowarzyszenia "Niezależna Fonografia Polska"

do góry

PRAWO I SZTUKA

Od dobrych kilku lat dyskusje na temat ostatecznego kształtu systemu ochrony praw autorskich i pokrewnych przybierają na sile nie tylko w Polsce, ale i w większości krajów europejskich. Podnoszone są argumenty, które świadczyć mają o słabości dotychczasowych uregulowań, są jednak również przedstawiane opinie przeciwstawne, wskazujące na adekwatność i efektywność obowiązujących przepisów.

Jak jest naprawdę? Spójrzmy na własne podwórko. Kiedy w 1994 roku uchwalono nową "Ustawę o prawie autorskim i prawach pokrewnych", która zastąpiła dotychczas obowiązującą ustawę z 1952, zdecydowana większość opinii, zarówno prawników jak i osób zajmujących się zawodowo szeroko rozumianą kulturą, była pozytywna. Także opinie obserwatorów zagranicznych wskazywały na to, iż został uchwalony bardzo nowoczesny akt prawny.

Minęło niespełna pięć lat i oto słychać coraz więcej głosów krytycznych. Nasuwa się więc pytanie, czy możliwe jest, aby w tak krótkim okresie czasu nastąpiła taka zmiana stanów faktycznych i okoliczności, która sprawiła, iż nowa ustawa nie odpowiada już standardom i oczekiwaniom. A może mylili się ci wszyscy, którzy mieli na jej temat pochlebne opinie?

Zacząć trzeba od przypomnienia prostego faktu, iż samo uchwalenie najlepszej nawet ustawy i jej wejście w życie nie jest w stanie spowodować automatycznie poprawy stosunków społecznych. Duża odpowiedzialność spoczywa tu na organach czuwających nad przestrzeganiem prawa. Sama ustawa nie działa poza tym w swoistej pustce prawnej, jest natomiast fragmentem systemu prawnego

obowiązującego w Polsce i jej efektywność zależy w dużej mierze także od innych aktów prawnych.

Opinia publiczna, oczywiście, nie bierze pod uwagę skomplikowanych dyskusji merytorycznych...tylko czyta gazety. A tam - lament. Tytuły alarmują o ponownym rozkwicie piractwa, który to fakt ma obciążać poważnie nasze konto podczas negocjacji dotyczączych przyjęcia naszego kraju do Unii Europejskiej. Przełożenie jest proste; piractwo się rozwija - ustawa jest słaba. Tymczasem rozwiązania przyjęte w przytoczonym akcie prawnym nie odbiegają od standardów światowych. Przykładowo, "kto rozpowszechnia cudze utwory bez uprawnienia albo wbrew jego warunkom, podlega karze pozbawienia wolności, ograniczenia wolności bądź grzywny", a sąd w wypadku skazania za powyższy czyn orzeka /obligatoryjnie!/ przepadek przedmiotów pochodzących z przestępstwa, choćby nie były własnością sprawcy. Może również orzec przepadek przedmiotów służących do popełnienia przestępstwa /czyli np. przegrywarek/. Opinia dotyczy więc nie przepisów, lecz ich stosowania, a to już oddzielna sprawa do dyskusji. Prawdą jest, iż nie od razu sądy i prokuratura były przekonane o rozmiarze i społecznej szkodliwości procederu piractwa. Można jednak odnotować znaczący postęp w tej dziedzinie. Należy natomiast zauważyć dość istotne zjawisko, a mianowicie społeczne odniesienie do tematu piractwa, wcale nie w całości negatywne. Dość jednoznaczne wypowiedzi osób indagowanych w mediach koncentrują się głównie na ekonomicznej stronie opisywanej sytuacji. Przede wszystkim dotyczy to oryginalnych nośników dźwięku oraz programów komputerowych, które w powszechnej opinii są zbyt drogie.

Nie jest to oczywiście kategoria prawna - takie a nie inne ceny produktu. Ważna, natomiast, jest okoliczność natury socjologiczno-prawnej, fakt, iż z takich albo innych powodów tolerowana jest społecznie działalność niezgodna z prawem. Prowadzić to może do dalej idących konsekwecji w postaci tolerowania również pozaprawnych i groźnych, a może groźniejszych zjawisk.

Aby podsumować te krótkie rozważania, warto poinformować, iż Ministerstwo Kultury i Sztuki opracowało projekt nowelizacji "Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych", który został rozesłany do różnych organizacji i instytucji w celu zasięgnięcia ich opinii. Stowarzyszenie "Niezależna Fonografia Polska" również otrzymało ten projekt. Opinia w tej sprawie właśnie jest przygotowywana. Niezależnie od jej meritum oraz dalszych losów projektu warto uświadomić sobie, iż nawet najlepszy akt prawny nie funkcjonuje właściwie bez wsparcia ze strony organów stosujących prawo oraz pewnej dozy oparcia o panujące stosunki społeczne.

mgr Marcin Karolak
Zespół Ekspertów Techniczno-Prawnych
Stowarzyszenia "Niezależna Fonografia Polska"

do góry

LIST OTWARTY DO PREZYDENTA CLINTONA

Warszawa, dnia 15.03.1999 r

The President of USA
The White House
Washington, DC 2020500
USA

Szanowny Panie Prezydencie,

zwracam się do Pana w imieniu polskich niezależnych producentów fonograficznych, literatów, kompozytorów, muzyków, a także przedstawicieli wielu innych dziedzin życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego z prośbą o interwencję i położenie kresu kampanii oszczerstw i pomówień skierowanej przeciwko Polsce i Polakom.

W kilka dni po wyjątkowo prostackim ataku pana Teda Turnera na Jana Pawła II-go (nie tylko Polaka, ale i głowy zaprzyjaźnionego z USA państwa Watykan, a także człowieka, dzięki któremu - obok Prezydenta Ronalda Reagana - m.in. także pan Turner zawdzięcza, że nie siedzi obecnie w schronie dojadając ostatnią zupę w proszku!) dowiadujemy się, że Amerykańskie Stowarzyszenie Przemysłu Nagraniowego skierowało do Pana Prezydenta list, żądający umieszczenia Polski na tzw. czarnej liście, a więc domagając się sankcji ekonomicznych wobec Polski. Zarzuca się nam stworzenie "raju" dla tzw. piratów, czyli nie tylko brak walki z tym zjawiskiem, ale wręcz złą wolę czy wręcz jego ułatwianie!

Protestujemy przeciwko temu z całą mocą i oświadczamy, że publikowane na ten temat dane i wyliczenia są tendencyjne, manipulowane bądź fałszowane m.in. przez międzynarodowe koncerny fonograficzne, ale też i przez wrogów zbliżenia i przyjaźni między naszymi krajami.

O ile w sprawie tych drugich nie chcemy się wypowiadać - w odniesieniu do fonograficznych "Majors" nasze doświadczenia i obserwacje pozwalają stwierdzić, że mamy do czynienia z próbą monopolizacji z pozycji siły polskiego rynku fonograficznego. Nie tak dawno tego rodzaju praktyki nazywano - "kolonizacją", w zwalczaniu której USA i naród amerykański położyły znane i wielkie zasługi. Obecnie próbuje się wykorzystać autorytet Pana Prezydenta, aby uzyskać wsparcie

dla tych praktyk. Polskie prawo, chroniące własność intelektualną jest równorzędne, a w niektórych aspektach zapewnia dalej idącą ochronę niż przepisy Unii Europejskiej czy USA. Dodatkowo obecnie pracujemy nad jego nowelizacją, uwzględniającą wszystkie światowe i europejskie standardy.

Nasz rząd, parlament, prezydent, policja, sądy, a także organizacje zrzeszające polskich producentów fonograficznych robią wszystko co w naszej sytuacji jest możliwe, aby zjawisku temu położyć kres. Jest faktem, że występuje ono w Polsce w skali uznawanej przede wszystkim przez nas za zbyt dużą, ale to nie my, nie Polska i Polacy jesteśmy winni temu zjawisku. Jest powszechnie znanym faktem, że pirackie kopie produkowane są w krajach sąsiadujących z nami i przemycane do Polski wbrew prawu. W Polsce są zabronione, ścigane i konfiskowane.

Kraj nasz nie tak dawno wszedł na drogę demokracji i budowy gospodarki rynkowej. Jesteśmy w połowie tej drogi i robimy wszystko co możliwe, aby posuwać się nią jak najprędzej.

Nie możemy jednak pozwolić na to, aby ktokolwiek, nie licząc się z faktami bądź udając, że nie zauważa trudności natury obiektywnej, od nas nie zależnych, obrażał Polskę i Polaków in corpore, traktując nas jak złoczyńców, nie kwalifikujących się do "przyjmowania na międzynarodowych salonach". Wspomniane trudności obiektywne to:

- •ok. czterokrotnie niższa niż na Zachodzie proporcja przeciętnego zarobku Polaka do ceny płyty CD. Tak długo, jak długo dysproporcja ta będzie się utrzymywała, skuteczność walki ze zjawiskiem tzw. piractwa będzie nikła. Nie pomogą tu żadne zakazy, restrykcje czy najsurowsze nawet kary. Nielegalne kopie będą do Polski przemycane i znajdą nabywców tak długo, jak długo w innej postaci będą dla większości Polaków niedostępne! USA wiedzą najlepiej, że skuteczność kar jest znikoma, jeśli są one zawieszone w próżni: mamy tu na myśli choćby powszechnie znane doświadczenie Amerykanów z wprowadzeniem prohibicji i osiągnięcie, pomimo wszelkich sankcji, efektu dokładnie odwrotnego od zamierzonego!
- •słabość naszych służb celnych i policji. Słabość wynikająca nie z faktu, że tak chcemy, tylko naturalnego biegu rzeczy: nasze organy kontroli i ścigania są na tym samym etapie przekształceń i rozwoju co cały kraj. Mają braki sprzętu, kadry, wyszkolenia - niemalże wszystkiego. Policjant czy celnik zarabiają przeciętnie US $ 50 tygodniowo. Brak im podstawowego wyposażenia. Jest ich za mało w stosunku do potrzeb. Nikt nie ma prawa zarzucać im, że nie chcą pracować równie skutecznie jak policjanci czy celnicy amerykańscy. Jak skuteczni potrafią być w naprawdę trudnych okolicznościach może potwierdzić

> choćby CIA na podstawie znanej akcji w Iraku... Zapewniamy Pana, że przyjdzie czas, gdy i w tej dziedzinie będziemy wzorem dla innych. Przyjdzie w sposób naturalny, wraz z osiągnięciem przez nasz kraj odpowiedniego poziomu rozwoju we wszystkich dziedzinach życia. Chciałoby się wierzyć, że powinno się nam w tym pomagać.

Panie Prezydencie! Czy umieszczenie Polski na "czarnej liście" przyspieszy nasz rozwój i osiągnięcie założonych celów? Czy ktokolwiek myślący może w coś takiego wierzyć? Bez wątpienia - nie. A więc trzeba szukać innych motywów. Wspomnieliśmy o nich wcześniej: chęć "skolonizowania" nowego rynku, próba zastraszenia, wywarcia presji... Może czyjaś desperacka próba powstrzymania integracji Polski z NATO...? Czy wnioskodawców restrykcji nie stać na podstawowe działania pozytywne, jak choćby włączenie się w jakikolwiek sposób w pomoc na rzecz polskiej policji, celników, a może - Polski jako całości? Przyspieszenie rozwoju polskiego wolnego rynku? Gwarantuję, że per saldo podejście takie opłaci się stukrotnie. Trzeba tylko chcieć i mieć trochę wyobraźni...

Panie Prezydencie! Wszyscy w Polsce wiemy, że mamy w Panu oddanego przyjaciela. W obecnych, historycznych czasach mamy okazję i szczęście deklarować, że zarówno Pan, jak i naród amerykański będziecie mieli - macie oddanego, wiarygodnego przyjaciela i partnera w Polsce i Polakach. Prosimy - niech Pan nie dopuści, aby aroganccy i tępi manipulatorzy mierzący wszystko i wszystkich kategoriami własnego zysku mogli rzucić cień na nasza wspólną przyszłość w wolnym, demokratycznym świecie.

Z wyrazami najwyższego szacunku, Imię, nazwisko, podpis.

(może być Twój czytelniku)

do góry

HOLOGRAFIA POLSKA

W ostatnich latach hologramy używane są coraz częściej w walce z nieuczciwą konkurencją, która na skalę masową podrabia markowe wyroby. Można je naklejać na perfumy, sprzęt elektrotechniczny, komputery, kosmetyki i inne przedmioty wymagające potwierdzenia oryginalności. Hologramy służą też do zabezpieczania przed fałszerstwem różnego rodzaju dokumentów, banknotów i kart płatniczych. W Polsce używa się ich również do potwierdzania legalności wyrobów fonograficznych. Stąd związki Stowarzyszenia NFP z jedyną w Polsce firmą produkującą zabezpieczenia holograficzne - Holografią Polską sp. z o.o.

Istniejąca od 1993 roku firma Holografia Polska mieści się we Wrocławiu, w jednym z domów na Starym Mieście. W drukarni na pierwszym piętrze kilka osób nadzoruje wytwarzanie tajemniczych srebrzystych znaczków dających trójwymiarowy obraz, błyskający całą gamą psychodelicznych kolorów. Najważniejszą maszyną jest drukarka termiczna, nieco większa niż masywne biurko. Obsługujący ją pracownik objaśnia tajniki jej działania. Specjalna folia termoplastyczna przechodzi przez zestaw rolek, zapewniający jej odpowiedni naciąg i podawana jest pod nagrzany do temperatury 130 stopni walec martycy. Inna maszyna, sprzęgnięta z komputerem służy do numerowania hologramów, jeszcze inna, z niezwykłą dokładnością nacina ich ostateczny kształt.

Drukowanie hologramów podobne jest do innych procesów drukarskich, tyle że zamiast nakładania barw, tłoczy się mikrostruktury obrazu na folii poliestrowej, powleczonej od spodu prawie przezroczystą warstewką aluminium. Wytłoczoną folię zabezpiecza się nakładając na nią warstewkę ochronną pokrytą specjalnym klejem. Próba odklejenia raz naklejonego hologramu kończy się rozwarstwieniem warstw ochronnych i zniszczeniem aluminium na którym wytłoczony jest hologram.

W bardzo dużym uproszczeniu można powiedzieć, że hologram to precyzyjnie wykonany układ drobniuteńkich prążków, jakby wydłużonych kryształków, stłoczonych w pozornym bezładzie. Ich położenie jest jednak dokładnie wyliczone przy pomocy skomplikowanych programów komputerowych. Prążki posiadają też bardzo ściśle określony kierunek. Na ekranie komputera wyglądają jak żelazne wiórki rozrzucone wokół magnesu. Można je porównać do zbioru milionów mikroskopijnych lusterek, lub raczej odłamków. Od ich długości i kierunku ułożenia zależy w jaki sposób odbije się od nich światło i jaki obraz zobaczymy. Jak wyjaśnił dr. Stępień z Politechniki Warszawskiej, który jest pracownikiem Holografii Polskiej i twórcą opatentowanej technologii HoloMax, od odległości pomiędzy prążkami zależy, jakie barwy odbije dany prążek. Kierunek ułożenia prążków i ich długość decyduje o tym, co zobaczymy na powstałym obrazie. Dzięki użyciu technologii

HoloMax, projektant hologramu, może wkomponować w obraz hologramu dodatkowe zabezpieczenia trudne do zauważenia przez osoby niepowołane. Powstały w komputerze obraz hologramu przenosi się, przy pomocy promieni laserowych na szklaną płytę (podobnie jak obraz w telewizorze), pokrytą warstwą materiału światłoczułego. Zależnie od intensywności naświetlenia materiału, jest on mniej lub bardziej wypłukiwany w procesie wywoływania, przez co tworzy plastyczny negatyw matrycy. Samą matrycę wykonuje się konwencjonalnymi metodami galwanicznymi.

Prezes Holografii Polskiej pan Bogusław Stich dodaje, że każdy zaprojektowany hologram zgłaszany do jest do Hologram Image Register w Londynie, ogólnoświatowego biura rejestracji hologramów. Podobnie jak wszystkie liczące się firmy holograficzne na świecie, H.P. jest zrzeszona w IHMA (International Hologram Manufacturers Association).

- Jesteśmy również członkiem międzynarodowych organizacji działających na forum zabezpieczeń przed fałszerstwami kontynuuje prezes, a nasza technologia HoloMax, jest opatentowana w 31 krajach i wyróżniona nagrodą IHMA za doskonałość w dziedzinie produkcji hologramów.

Holografia Polska sp. z o. o. jest jedną z pierwszych krajowych firm, przyjętych w poczet członków Stowarzyszenia NFP. Jej związek z przemysłem fonograficznym jest oczywisty: wszystkie płyty wydawane przez wytwórnie zrzeszone w Stowarzyszeniu NFP są zaopatrzone w hologramy produkowane przez Holografię Polską. Jednym zdaniem jest to firma wykonująca przysłowiową "dobrą robotę".

Marek Potempski

Londyn - satril house

W londyńskim Hyde Parku ma odbyć się seria koncertów na świeżym powietrzu. Mają one przyszłego lata przyciągnąć do stolicy Anglii ponad 130 tysięcy fanów muzyki. Wśród wielkich nazwisk, które pojawią się podczas koncertów pod wspólną nazwą Route of Kings jest Sir Cliff Richard, jak również Simply Red, Sting i kanadyjski rocker Bryan Adams.

Na wyżej wymienionych koncertach chcą również zagrać gwiazda lat siedemdziesiątych Supertramp, Shirley Bassey oraz Amerykanie Joni Mitchel i James Taylor. Rzecznik prasowy Cliffa Richarda zaprzeczyła pogłoskom, jakoby gwiazdor chciał zakończyć czterdziestoletnią karierę w show businessie. Wręcz przeciwnie – Sir Cliff ma już angaże na następne dwa lata, chociaż chciałby po wypełnieniu wszystkich zobowiązań na pewien czas odpocząć od występów.

Inny z rycerzy estrady, Elton John, wszczął dochodzenie odnośnie 20 milionów funtów, które rzekomo wymknęły się niezauważone z jego finansowego imperium. Supergwiazda rocka, której majątek szacuje się na około 150 milionów funtów zauważył podobno stratę po rozstaniu z jego długoletnim managerem, Johnem Reidem. Reid zajmował się sprawami Eltona przez prawie 30 lat, a jego odejście spowodowane było podobno różnicami zdań co do pieniędzy i planów zawodowych obu panów. W zeszłym roku autora Candle in the Wind mianowano zwycięzcą (23 miliony funtów) jeśli chodzi o zyski z koncertów w Stanach Zjednoczonych. Został on również najlepiej zarabiającym piosenkarzem w historii Ameryki, wykazując się liczbą ponad 60 milionów sprzedanych albumów.

Sir Elton pracuje obecnie z Timem Ricem (słynnym autorem Jesus Christ Superstar i Evity) nad popularną wersją Aidy Verdiego. Na płycie zaśpiewają również Tina Turner, Spice Girls, Sting, Janet Jackson, Lenny Kravitz i Lulu. Z okazji inauguracji projektu odbyło się w Londynie przyjęcie.

Mag keybordów Rick Wakeman, znany dzięki nagranemu 25 lat temu Journey to the Centre of the Earth pracuje nad jego kontynuacją zatytułowaną Return to the Centre of the Earth. Narratorem albumu będzie gwiazda Star Trek – Patrick Steward, a pojawią się również Bonnie Tyler, Justin Hayward z Moody Blues, Katrina (z grupy Katrina and the Waves) oraz nowa twarz – Tony Mitchell. Wakeman jest jedną z najbardziej charyzmatycznych postaci muzyki rockowej. Jego kariera trwa już ponad 35 lat, a na koncie muzyk ma ponad 100 milionów sprzedanych płyt. Wakeman był znany w latach siedemdziesiątych jako „dzikus muzyki rockowej" aż do momentu, kiedy lekarze dali mu wybór – albo przestanie pić, albo w ciągu trzech miesięcy umrze.

Czterdziestą rocznicę przedwczesnej i tajemniczej śmierci legendarnego Mario Lanzy uczci musical opisujący kontrowersyjne życie i olśniewającą karierę gwiazdy. Przez sześć miesięcy będzie on pokazywany w różnych teatrach, zanim (na jesieni) zostanie wystawiony na londyńskim West Endzie.

Lanza – The Last Serenade będzie opisem życia i twórczości artysty, jak również próbą odpowiedzi na pytania dotyczące jego przedwczesnej śmierci (Lanza zmarł w Rzymskiej klinice w wieku 38 lat). Gwiazdą spektaklu jest Brytyjczyk Mark Rattray przewodzący obsadzie złożonej z 12 aktorów z West Endu. Akcja dzieje się za kulisami London Palladium i przedstawia próby do spektaklu Royal Variety w 1957 roku. Rattray twierdzi, ze rola w tym przedstawieniu jest spełnieniem jego marzeń. „Zostałem fanem Mario Lanzy kiedy byłem nastolatkiem. Uważam, że to fantastyczne, iż mogę w tym przedstawieniu odtwarzać jego postać. Jest to dla mnie najwyższe wyróżnienie."

Brodaty gwiazdor muzyki country Kenny Rogers obchodzi trzydziestą rocznicę umieszczenia swojego pierwszego przeboju na UK Top 10. (Ruby Don't Take Your Love To Town). Z tej okazji w maju odbędzie się koncert w Royal Albert Hall. Dwa lata temu Rogers doszedł do szczytu list przebojów z płytą Love Songs i bez wątpienia zaśpiewa w Londynie takie hity, jak Coward Of The County, Lady, Islands In The Stream, i She Believes In Me.

Wieść niesie, iż lider Boyzone, Ronan Keating ma zamiar rozerwać szyki macierzystej drużyny i wydać pierwszy solowy singiel. Keating umieścił jeden ze swoich utworów (When You Say Nothin' At All) na ścieżce dźwiękowej filmu Notting Hill z Hugh Grantem i Julią Roberts w rolach głównych. Obraz ma wejść do kin w kwietniu. Ronan zarzeka się jednak, ze nie opuści zespołu, z którym zdobył międzynarodową sławę, chociaż chciałby kontynuować karierę solową oraz zostać telewizyjnym prezenterem.

Bruce Springsteen, amerykańska supergwiazda piosenki, pojawił się ostatnio w Londynie, budząc spustoszenie wśród klientów londyńskich knajpek. Wszedł niespodziewanie do Indyjskiej Restauracji „Bombay Brasserie" w Kensington i zamówił curry. Po spożyciu posiłku Bruce nawiedził pobliski bar, zamówił drinka i wziął udział w konkursie Karaoke.

Spandau Ballet, grupa popularna w latach osiemdziesiątych (dzięki takim przebojom, jak True, czy To Cut A Long Story Short), rozpadła się ładnych parę lat temu, ale ich historia skończy się dopiero zażartą walką toczoną na sali sądowej. Wokalista Tony Hadley razem z perkusistą Johnem Keeblem i saksofonistą Stevem Normanem podali do sądu gitarzystę i twórcę repertuaru grupy Gary Kempa wraz z jego firmą Reformation Publishing. Ubiegają się o setki funtów niespłaconych honorariów

autorskich. Trzej członkowie grupy twierdzą, że mają prawo do pieniędzy za prawa do wydawania ich muzyki oraz, że Kemp nie płacił im od 1988 roku.

Gary Kemp razem z bratem Martinem, również członkiem Spandau Ballet obrali drogę kariery aktorskiej, wystąpili między innymi w 1990 roku w filmie o brytyjskich gangsterach, braciach Kray.

Rozgorzała walka między dwoma damami sceny – Elaine Paige i Madonną. Przedmiotem sporu jest główna rola w filmie poświęconym legendarnej francuskiej piosenkarce Edith Piaf. Elaine Paige zagrała role Evy Peron w londyńskiej, scenicznej wersji musicalu Evita, przegrała natomiast z amerykańską gwiazdą rywalizację o udział w wersji filmowej. Obecnie obie panie starają się o prawa odtwarzania postaci Piaf na ekranie. Paige zapowiedziała: „Nie zamierzam drugi raz przegrać z tą kobietą!” To wszystko w tym miesiącu ale już niedługo ciąg dalszy.

Chris White, HHO, Londyn
Tłumaczenie: Bartosz Weber

W nastepnym numerze

•Rewelacyjna płyta z serii Oldies-Goldies
•Feliks Wasilewski poleca najlepsze światowe przeboje 1956 roku m.in. Blue Suede Shoes.
•Fonosfera z Fryderykami – reminiscencje Moniki Romaniuk
•Festiwale! Festiwale! Kulisy i bisy czyli reportaż od kuchni z eliminacji na Festiwal Opolski
•Fonogwiazda – Yanina Jeden dzień z życia artysty krok po kroku śledzi Marek Potempski
•Fonoguru – tajemniczy autorytet z niespodzianką (piórem Iwony Wiśniewskiej i karykaturą Roberta Kondrata nakreślony)
•Uwaga! Na bieżąco relacjonujemy działania Stowarzyszenia „Niezależna Fonografia Polska" (Stowarzysza, Radzi, Obnaża...)
•I co wy na to? Czekamy na Wasze listy w Sprawie, najciekawsze nagrodzimy